

WOJCIECH ALBINSKI
ANTYLOPA SZUKA MYŚLIWEGO

WOJCIECH ALBINSKI
ANTYLOPA SZUKA MYŚLIWEGO

2006
WARSZAWA

Śmierć plantatora

Czterosobowy samolot osiadł na lotnisku w Dumo. Dwóch urzędników podbiegło i porwało moją walizkę. Pilot, uściskawszy mi dłoń, zawrócił maszynę i natychmiast odleciał z powrotem do stolicy. W Dumo jest wygodny hotel, a za kilka dni zabierze mnie stąd ciężarówka z kopalni.

Ahmed był właścicielem hotelu. Wskazał na deskę z numerami pokoi. Wisiał na niej tylko jeden klucz. Ahmed prowadził z gośćmi chytrą grę, utrzymując ich w przekonaniu, że przydziela im ostatnie pomieszczenie. W jego lewym uchu błyszczał diament.

- Zbieram środki na drugi do prawego ucha -zwrócił mi się poufnym szeptem. - Ale jest trudno, coraz trudniej... Na kopalnie nie można liczyć, inżynierowie nasze miasto omijają. Natomiast zatrzymują się u nas artyści z wytwórni filmów Luluwood! Pan Wilson oraz boska Bubu! Producenci i scenarzyści!

W pokoju wisiał zapach lawendy, natychmiast wyszedłem na werandę. Roztaczał się z niej widok na zakurzony trakt. Po drugiej stronie ulicy

6 Antylopa szuka myśliwego

czerniały wnętrza sklepów, na drucianych wieszakach wisiały kolorowe koszule. Przed ustawionym ukosem budynkiem kina gromadzili się przechodnie i widzowie. Z hotelowego lobby wyszedł mężczyzna średniego wzrostu. Miał na sobie biały pomięty garnitur z materiału, jakiego się nie prasuje. Rozwiane poły marynarki przydawały mu tuszy, a rogi kołnierzyka niebieskiej koszuli sterczały fantazyjnie w różne strony.

Zauważyłem, że na szyi nosi koloratkę, a w klapę wpiął krzyżyk. Instynktownie zwróciłem się w jego stronę, wskazując na stojący obok fotel. Misjonarze pracujący w oddalonych miejscach mogą mieć jakiś list do wysłania lub wiadomość do szybkiego przekazania. Bywa też, że chcą porozmawiać normalnie, a nie tak jak się mówi do owieczek.

- Ted Wilson - przedstawił się. Chętnie usiadł na wskazanym miejscu.

- Czego się ksiądz napije? - zapytałem.
- Whisky. Podwójną. Ksiądz? Wskazałem na krzyżyk w kłapie.
- Ach, proszę mi wybaczyć... - Zdjął koloratkę i wepchnął ją do bocznej kieszeni. -
Nakręcaliśmy dzisiaj film... Grałem w nim rolę złego księdza.

Już po chwili wdaliśmy się w rozmowę, dwaj wędrowcy, których los zetknął na pustyni. Okazało się, że spaliśmy na tych samych lotniskach, ocieraliśmy się o podobnych ludzi. Porty, bary, trudne przejścia graniczne wyłaniały się z pa-
Śmierć plantatora

7

mięci i znikają. Wilson opowiedział mi o swojej karierze filmowej. Nie miał wykształcenia aktorskiego, ale oglądał nieme filmy. Potem ćwiczył przed lustrem dramatyczne sytuacje, przybierał wykwintne pozy. Po dniu pracy padał na łóżko zmęczony śmiesznością sytuacji, ale podobno jest to jedyna droga...

Opowiedział, że uprzednio pracował jako oficer na okręcie brytyjskim; pominął okoliczności, w jakich zszedł na ląd. Cały rok przewalał papiery w jakiejś agencji handlowej w brudnym afrykańskim porcie. Mieszkał przy ulicy tak hałaśliwej, że przychodził do pracy wycieńczony. Smarował pędzlem kwity i przylepiał je do paczek, na wszystkich wypisując: „oclone”. Kiedy zaproponowano mu rolę w filmie przygodowym, zgodził się bez wahania.

- Kilka mądrych osób wpadło na pomysł, aby stworzyć nowe zagłębie filmowe -
mówił.

- Ameryka ma Hollywood, w Indiach Bolly-wood co dzień wypuszcza nowy film...
Nasza wytwórnia nazywa się Luluwood, a to na cześć przyjaciółki właściciela. To wielka artystka...

- rozmarzył się. - Wdzięk, uduchowanie i taniec... Każdy temat, nawet nabożny,
potrafi zamienić w softporno.

Wilson wyglądał na człowieka nieufnego, lecz do filmu pałał szczerym entuzjazmem. Ludzie tacy jak on, choćby mieli inne możliwości, z uporem wybierają niepewny los. Zawód aktora prawdopodobnie był jego ostatnią szansą. Wtajemniczał mnie w arkana filmowej produkcji.

8 Antylopa szuka myśliwego

- Po ukończeniu filmu oryginalne nagranie bierze mafia i powieliła je w tysiącach egzemplarzy...

- Konieczna jest finansowa baza... - przyznałem. - Nie wystarczą sami artyści.
Wskazał na budynek naprzeciwko oblepiony afiszami. Nad wejściem zwisała girlanda żarówek.

- Tam grają nasze filmy... W każdym mieście jest kino, czasami pod dachem, częściej pod palmami. Nasze kasety leżą na straganach, sprzedaje się je jak pomarańcze.
Panował południowy upał, kto mógł, szukał cienia.

W pobliżu hotelu kręciły się barwnie ubrane dziewczęta. Zaczepiały Wilsona i wdawały się z nim w pogawędkę. Był dla nich wielkim aktorem, nie mniejszym niż amerykańskie gwiazdy. A on co chwilę przywoływał kelnerów i zamawiał chłodzące napoje.

- Patronuję tu trzem pokoleniom - wyjaśnił. - Matki przychodzą do mnie z córkami,
córki z siostrami...

Wilson wrócił do swojej kariery artystycznej.

- Obejrzysz jutro studio... Jest to autentyczna wieś, zaludniona prawdziwymi mieszkańcami. I ja też mam tam swój dom, który jest częścią dekoracji. Weranda, wiklinowe fotele... Rozpieram się w tych fotelach, służbę traktuję z góry... I oczywiście nie rozstaję się z bronią.

Obok nas przechodziły modnie ubrane dziewczyny. Jedna z nich zawisła na szyi gwiazdora.

Śmierć plantatora

9

- To aktorki - wyjaśnił. - Ten kraj obfituje w talenty. Ta wyższa niestety nas opuszcza... Ściąga ją do Anglii jakiś pornograf. Mają tam kręcić pełnometrażowy film... Temat jest dosyć odkrywczy: „Co naprawdę działo się w rajach?”.

- Jakie filmy kręcicie? O czym? Domyślam się, że nie tylko o przyrodzie?

- Nieszczęśliwa miłość jest naszym stałym tematem. On wyjeżdża na studia, ona ma w tym czasie troje dzieci. Kto winny? Dwie zwalczające się narzeczone, z których jedną znajdują w rzece z kamieniem u szyi. Mąż uwiedziony przez złą kobietę albo uczciwy urzędnik, którego niszczą plotki. Ostatnio filmy o okrutnych białych cieszą się coraz większym powodzeniem...

Powiedziałem mu, że na pierwszy rzut oka nie budzi we mnie lęku. Co innego, gdyby miał krzaczaste brwi i wystające zęby. Raczej wygląda na pocziwca. Bardzo go to uraziło.

- Oblekam na twarz maskę dobroduszości... A pod nią kryję chytrych i gwałt! Dzisiaj, na przykład, grałem rolę księdza. Siedziałem w konfesjonale. Mój pejcz leżał jak zwykle pod ręką. Po udzieleniu rozgrzeszenia zacząłem wymierzać karę i z rozpędu zakatowałem chłopaka... Człowiek może się zeźlić, jak widzi grzesznika. Jest chyba takie prawo?

Wilson śmiał się serdecznie, jego tłusty podbródek falował i podrygiwał. Te role dostarczały mu widocznie dużo złośliwej uciechy. Dumny był ze swej gry, jak uczeń z wyjątkowo udanej psoty.

10

Antylopa szuka myśliwego

- Artysta tak gra, jak mu reżyser każe - wyjaśni! panujące zasady. - A reżyser już wie, co ma kręcić. W Hollywood byłoby jeszcze gorzej

- dodał po namyśle. - Ucieczki samochodem, jakieś motele po drodze...

Słabł popołudniowy upał, nadchodziła pora kolacji.

- Jednego tylko się boję... - zasmucił się aktor.

- Mogę się stać zbyt znany. Po seansie ludzie wyjdą z kina roztrzęsieni i wściekli, ogarnie ich żądza zemsty... Wedrą się do hotelu, wypiją kilka piw i wywalą drzwi do mojego pokoju.

Poranne słońce świeciło z ukosa. Kelnerzy ustawiali stoliki, ścierali z nich nocną rosę. Na drzewach ciążyły ku ziemi czerwone kwiaty, gubiąc płatki. Siedziałem nad talerzem chrupkich ziaren i polewałem je mlekiem. W ogrodzie ukazał się Wilson. Szedł chwiejnym krokiem, wyglądał jak po bezsennej nocy. Niechętnie spojrzął na rozłożone bułki i owoce, ominął wzrokiem ciepłe potrawy. Filiżanka zadrżała mu w ręku, poplamiał się kawą.

- Za chwilę przyjedzie auto z wytwórni... Niewielu ludzi zna Luluwood od środka.

Młody człowiek w kolorowej koszuli nazywał się Brown.

- Jestem producentem - wyjaśnił. - Kręcimy właśnie film historyczny i nasz kierowca

prowadzi ciężarówkę z żołnierzami...

Zrozumiałem, że Brown pełni wyższe funkcje. Zapewniłem go, że jestem gotowy do drogi.

Śmierć plantatora

11

-1 ja też... - wymamrotał Wilson. - Jeżeli dacie mi piętnaście minut.

Na ulicy stał wóz Browna, toyota z napędem na cztery koła. Przebyliśmy kilometr główną drogą, a potem skręciliśmy w busz. Na rogu stała budka z falistej blachy: „Telefon Publiczny”.

- Afisze filmów, w których gram pierwszoplanowe role... - wskazał aktor.

Budka była nimi kompletnie oblepiona. Wilson na koniu, Wilson na werandzie, ktoś złośliwie zamazał mu twarz farbą.

Powitał nas zapach wysychających kałuż. U wylotu miasta wąskie koleiny. Brown znał trasę -wiedział o każdym kamieniu albo wystającym korzeniu i nie zwalniając, omijał przeszkodę. Tropikalny las ogołocony był z zarośli, mieszkańcy brali się już za wysokie drzewa.

- Żyją z nas... - Brown wskazał na ludzi siedzących przed chatami. - Bez wytwórni umarliby z głodu.

Zacząli od nabycia kamer i kilku samochodowych wraków - zaznajomił mnie z historią wytwórni. Dziś są powszechnie znani. Kręcą dużo historii miłosnych, dużo wylewania łez... Piękna dziewczyna leci na blichtr, imponują jej stroje... Chciwość i niepowstrzymana żądza władzy, a z drugiej strony szczere uczucia...

- Odwieczne tematy - wtrąciłem.

- Odzywają w każdym pokoleniu.

Przed nami pojawił się most. Wypadliśmy z kolein, po kilku poślizgach trafiliśmy pomiędzy pogieęte barierki. W dole połyskiwał strumień.

12

Antylopa szuka myśliwego

Młoda kobieta kąpała dziecko, inne klęczały z rękami zanurzonymi w wodzie po łokcie. Na płaskich kamieniach suszyły się suknie w wielkie pomarańczowe i niebieskie kwiaty.

- Kręcimy także filmy historyczne, opiewające zwycięstwa naszego prezydenta - ciągnął Brown. - Najpierw jego długą walkę w buszu, a potem zwycięskie wybory. Długie walki na północy i wschodzie... Rebelianci chcą mu wyrwać kraj, lecz on wie, jak utrzymać się u władzy!

- Zna swój fach - zgodził się Wilson. Pobieźnie znałem te wydarzenia z gazet. Nie zakłócały pracy kopalni, nie było powodu, aby się nimi bliżej zajmować. Dla dziennikarzy był to trudny teren, o płynnych granicach i zmieniających się frontach.

- Co kręcicie obecnie? - spytałem fachowo.

- Mamy w planie historię bitewno-romantyczną - odparł Brown. - Przywódca rebeliantów porywa piękną dziewczynę, która ze strachu udaje miłość. Po pewnym czasie wykluwa się prawdziwe uczucie, tylko że on nie chce tego zauważyć... Jest to opowieść o wewnętrznym rozdarciu i podzielonej lojalności... Wilson ma tam interesującą rolę, chociaż jak zwykle negatywną.

- Wyobraźcie sobie tropikalny las - aktor roztoczył przed nami wizję planu. - Wyjeżdża z niego biały mercedes, ja rozpieram się na tylnych poduszkach. Z

krzaków, z wymierzoną we mnie bronią, wysypują się rebelianci. Wściekli, uderzają łufami o szyby... Odprawiam zgraję niedbałym gestem, żądam, aby przyprowadzili Śmierć plantatora

13

dowódcę. Ten na mój widok staje na baczność, a potem przypada mi do ręki...

- Szybka akcja w naturalnej scenerii - dodał Brown.

Wilson ciągnął dalej:

- Chwilę później kamera najeżdża na skrzynki z szampanem, rebelianci wynoszą je z bagażnika. Na dnie, po wyjęciu butelek, ukazują się pliki dolarów. Jeszcze w bankowych bandelorach, lśniące. Lubieżnie pieścimy je w dłoniach... Przybyłej dziatwie rzucam przez okno słodycze, raz tylko wpadam w niepohamowany gniew... A wtedy przywódca rebeliantów, żeby mnie udobruchać, zarządza masową egzekucję.

I znowu Wilson chichotał, dumny ze swojego kunsztu. Śmiał się jak człowiek, który wie, na jakim poziomie rozgrywają się istotne sprawy. Zdawał się mówić: „Ja, artysta, siedzę na ławce między wami, bez skargi znoszę drobne niewygody”.

Nad bramą, na linie rozciągniętej pomiędzy drzewami wisiała deska z napisem:

„Luluwood”. Poniżej: „Witamy. Obcym wstęp wzbroniony”. Przebyliśmy czerwone

klepisko, zatrzymaliśmy się przed werandą. W wiklinowych fotelach siedzieli statyści, grający służących Wilsona. Przed bungalowem rozciągał się okrągły plac, na skraju którego stały gliniane chaty. Każde domostwo ogrodzone było niskim płotem, w żółtych czajnikach bulgotała woda, ludzie gwarzyli między sobą, myli zęby, piaskiem czyścili blaszane kubeczki.

14

Antylopa szuka myśliwego

Wyszliśmy na otwartą przestrzeń. Po prawej stronie stał płaski budynek, ozdobiony masztem i flagą. Na murze widniał napis: „Policja”. Pod murem ciągnął się rząd krzesel pozbieranych z całego świata. Były tam złożone fotele, białe kuchenne stołki, komplety biurowe i wyściełana koronkami sofa. Pod drzewami, częściowo przykryte brezentem, stały zaparkowane samochody. Citroen rocznik 1952, kilka amerykańskich willysów, grubymi ściegami zszyty opancerzony wóz. W pewnym oddaleniu robotnicy wznosili makietę pałacu. Białe kolumny, wysokie okna, wysmukłe urny z palmami.

- To będzie pałac gubernatora... - wyjaśnił Brown. - Film zakończy się zwycięskim szturmem.

Dobiegło nas porykiwanie motorów i podniosła się chmura kurzu. Z wysiłkiem, kolebiąc się na obie strony, wyłoniła się z buszu wojskowa ciężarówka. Wypełniona była uzbrojonymi mężczyznami z czerwonymi opaskami na głowach. Przed nami zahamowała terenowa toyota, na platformie stała kamera na statywie. Na dany sygnał bojownicy zeskoczyli z ciężarówki i pochyleni rozbiegli się po placu. Kilku z nich wpadło do budynku policji i wyprowadziło stamtąd sierżanta.

- Uzyskaliśmy efekt zaskoczenia - zawołał młody mężczyzna, niewątpliwie mieszanej krwi. Był to reżyser i autor scenariusza, do niego należała oprawa artystyczna filmu. Zarządził przerwę i zszedł z wozu.

Śmierć plantatora

15

- Hej! - krzyknął w naszą stronę.
- Nazywa się Toto - przedstawił go Wilson. - W ciągu miesiąca nakręca dwa filmy.
- Co teraz zrobicie z sierżantem? - zapytałem reżysera. - Tym, który został wzięty do niewoli?

- Osądzi go ludowy trybunał i zostanie przykładowie ukarany - odparł Toto. - Ale nie martw się, używamy ślepych naboju. Tylko w wyjątkowych wypadkach dzieje się inaczej, na przykład, kiedy aktor nie chce upaść.

Wróciliśmy na taras, gdzie na okrągłej tacy stały już napoje. Toto omawiał z Wilsonem szczegóły jego roli. Chciał, aby dla widzów było oczywiste, że za rebeliantami stoją interesy kopalnianych firm.

- Widzowie domagają się realizmu - powtarzał z naciskiem.

- Mogę coś wspomnieć o złożach diamentów

- godził się Wilson. - Ropa brzmiałaby dosadniej?

Zauważyłem, że od pewnego czasu Toto intensywnie mi się przypatruje. Jakieś procesy zachodziły w jego głowie, ale nie byłem pewny, do czego zmierza.

- Koszula khaki, przeciwsłoneczne okulary...

- wyliczał - ...ciemna broda.

- Też tak myślałem - podchwycił Wilson.

- W jego wyglądzie nic nie trzeba zmieniać, wyposażymy go tylko w krótką broń...

- Mamy dla niego czerwony beret i rewolwery bez kabury.

16 Antylopa szuka myśliwego

- Jest typem, którego nam potrzeba.

- Od pewnego czasu szukamy kapitana najemników - zwrócił się do mnie Brown. - Z łatwością mógłbyś wejść w taką rolę. Najeżdżasz spokojne wsie i je palisz. Będziesz całkowicie przekupny. Pokażemy ci, jak się stosuje tortury, nauczysz się tego w pół godziny.

Patrzyli na mnie wyczekująco, Wilson nawet wspomniął coś o kontrakcie.

- Co do aktorskiej gry... - Tę część rozmowy wziął na siebie Toto. - Nie musisz robić specjalnych grymasów. .. Wystarczy ci twoja zwykła twarz.

- Och - ucieszyłem się. - Dobra wiadomość. Bez grymasów będzie mi łatwiej grać.

Wracając do hotelu, Wilson zachęcał mnie do przyjęcia propozycji.

- Gdzie tak łatwo zrobiłbyś filmową karierę? Oni tu cierpią na brak chętnych białych. Cała robota to jeżdżenie jeepem po buszu i głośne wykrzykiwanie rozkazów. Reżyser dostrzegł w tobie talent. A ja wtajemniczę cię w arkanę gry aktorskiej.

Następnego dnia musiałem jednak wyjechać z miasta. W kopalni ktoś sobie o mnie przypomniał i w południe zatrzymała się przed hotelem ciężarówka. Nietrudno było zgadnąć, skąd przybyła; pokrywał ją żółty kurz, a szyby były oblepione błotem.

Miesiąc później wróciłem do hotelu Lux. Nie mogłem uniknąć kilkudniowego postoju.

Śmierć plantatora

17

- Mam dla ciebie ten sam pokój - przywitał mnie Ahmed. - Na pierwszym piętrze, z widokiem na ogród. Cieszy nas, kiedy goście powracają, bo to znaczy, że jest przyjemna atmosfera.

Wczesnym popołudniem wyszedłem na spacer. Wędrowałem bez celu wśród straganów. Budynek kina był oklejony kolorowymi afiszami. Z wysoka patrzyły Lola

oraz Bubu, chociaż Bubu była raczej wpatrzona w młodzieńca, który siedział w odkrytym samochodzie. Tu i ówdzie pojawiał się Wilson w rozwianej marynarce. A to stał na werandzie i z góry przemawiał do wystraszonego tłumu, a to spiskował z mulatem o wyglądzie łotra.

Na drzwiach wejściowych przybito świeży afisz. Film nosił tytuł: Śmierć plantatora. Na zdjęciu twarz Wilsona nie wyrażała pychy, ale raczej paniczny strach. Zasłaniał się przed ciosami, rozpaczliwie wykrzywiał, a pejcz i rewolwer leżały pod stołem. - Świetny film, idzie od tygodnia! Dzieło na miarę światową! - Właściciel kina zastawił okienko deską i wyszedł, aby ze mną porozmawiać. - Pan Wilson doskonale w nim gra!

Postanowiłem obejrzeć nowy film Wilsona. Chciałem ocenić jego kunszt aktorski. Ciekawiło mnie, czy naprawdę brak w tych filmach realizmu.

W tyle sali terkotał aparat, przez szpary w ściana-wdzierały się promienie słońca. Sala była wypełniona, mimo że był środek dnia. Film wyświetlano już co najmniej od godziny, ale miałem

s* Kra^o

Л

18 Antylopa szuka myśliwego

prawo zostać na następny seans. Gdy wszedłem, zobaczyłem na ekranie Wilsona wygodnie rozpartego na werandzie. Jego poczciwą twarz oświetlała zwisająca lampa, na stole stała butelka, a przez oparcie fotela przewieszony był jak zwykle pejcz.

Wyraźnie zadowolony ze swych niecnot dolewał sobie whisky.

Podniósł głowę, gdy usłyszał narastające głosy... Dochodziły z otaczającej go wioski. W ciemnościach pojawiły się też pochodnie, migotały wśród zarośli i chat. Najpierw były to pojedyncze światła, ale wciąż ich przybywało. Zaniepokojony, odwrócił się i sięgnął po pejcz.

Głosy potęgowały się i jednocześnie odezwały się bębny. Początkowo był to odległy pomruk, ale wkrótce zabrzmiał z ogłuszającą mocą. Wilson zniknął w drzwiach i po chwili wrócił uzbrojony w rewolwer. Tymczasem dziesiątki ludzi z pochodniami zaczęły go niepokojąco otaczać. Ciągłe pewny siebie Wilson wydał jakiś rozkaz tłumowi, a potem wymierzył w ciemność i wystrzelił. Odpowiedział mu krzyk bólu zranionego człowieka i pochodnie zaczęły się szybko przybliżać. Gniewny tłum wdarł się na werandę.

Do pierwszych mężczyzn, którzy stanęli na stopniach, Wilson oddał dwa śmiertelne strzały. Napastnicy, teatralnym ruchem, zasłonili się dłońmi i upadli. Następni wyłamali balustradę, i nacierając od tyłu, powalili „plantatora”. Zaskoczony, dał pokaz doskonałej gry. Zakrył twarz rękami, skomlać o życie. Kopnięty w czoło, huk-
Śmierć plantatora

19

nał potylicą o ścianę i na chwilę jak gdyby stracił przytomność. Na białym garniturze pojawiła się czerwona plama. Kiedy usiłował wstać, napastnik w szortach przygniótł go kolanem.

To było w planie ogólnym, a potem nastąpiło zbliżenie. Wilson z ogromnym realizmem grał człowieka zagrożonego śmiercią. W jego zwykle drwiących oczach zagościł paniczny strach i broda mu się trzęsła z przerażenia. Kamera zmieniła ustawienie - na pierwszym planie pojawiły się zaciśnięte dłonie, w każdej błyszczał

zakrwawiony nóż. Wilson próbował się wyrwać, wijąc się mimo tuszy i zaciekle wywijając nogami. To była dobrze wyreżyserowana akcja, na oczach widza, raz po raz, ostrza wchodziły w miękki worek brzucha. I znowu najazd kamery... W otwartej piersi Wilsona grzebią czyjeś ręce. Szarpia rytmicznie bijący mięsień. Z przeciętych naczyń ciągle bucha krew, kiedy bojownik unosi serce w radosnym triumfie.

Z ulgą znalazłem się na słońcu. Pozostali widzowie też byli poruszeni. Chwalili dzieło, a zwłaszcza jego zakończenie.

- Podobał się panu film? Każdemu się podoba -podszedł do mnie właściciel kina. - Pan Wilson z łatwością wchodzi w najtrudniejsze role.

Towarzyszył mi w drodze do hotelu. Zgodziliśmy się, że Śmierć plantatora jest wybitnym osiągnięciem artystycznym. Reżyser świetnie oddał nastrój tych lat.

- Oczekujemy teraz drugiego filmu z tej serii - informował mój towarzysz. - Ma nosić tytuł

20 Antylopa szuka myśliwego

Śmierć najemnika. Zapowiedziany był na maj, lecz pojawiły się trudności... Główny aktor podobno zawiódł, ale wciąż trwają poszukiwania i rozmowy.

Nerwowo zdążyłem do hotelu. Ludzie stali w grupach i omawiali film. Niektórzy widzieli go wielokrotnie i na ulicy odgrywali sceny walk.

W lobby powitał mnie Ahmed.

- Usiądziesz na werandzie? - zapytał. - Podać sok?

- Na werandzie... - powtórzyłem bezwiednie. - Czy możecie zawołać Wilsona?

Powiedzcie mu, żeby tutaj przyszedł.

Ahmed stał zakłopotany.

- Pan Wilson? Nie widzieliśmy go od miesiąca.

- Wyprowadził się?

- Zniknął. Jako zapłatę za plik rachunków zostawił nam swoje brudne ubranie. Co jeszcze? Pustą walizkę, grzebień, szczotki...

Ahmed szczerze bolał nad zniknięciem znakomitego gościa. Aktor przyciągał do hotelu spory tłum. Zwłaszcza bar doskonale funkcjonował, ludzie pili piwo i jedli orzeszki. Wieczorami otaczał Wilsona kolorowy wianuszek wielbicielów szukających wejścia do świata filmowego. Ale najbardziej ubodło Ahmeda to, że Wilson się z nim nie pożegnał.

- Uważałem go za przyjaciela - mówił z żalem. -A on odszedł nawet bez uścisku dłoni.

Zgodziłem się z Ahmedem, że to nie było fair. Wilson spędził tu wiele miesięcy...

Chyba

Śmierć plantatora

21

że musiał wyjechać w pośpiechu. Albo... że coś niedobrego mu się przytrafiło.

- Przez pierwszy tydzień liczyliśmy, że wróci, a potem przenieśliśmy jego rzeczy do schowka - opowiadał właściciel hotelu. - Nawet gdyby je wystawić na sprzedaż, nie wyrównałoby to połowy strat. Jestem zbyt ufny... Gdy kogoś lubię, nie patrzę mu na ręce.

- Nie zostawił żadnej wiadomości?

-Ani skrawka papieru, ani numeru telefonu.

Ahmed przyniósł szklankę słodkiego płynu i usiadł naprzeciw mnie w fotelu. Dotknął

diamentu w lewym uchu - w szlachetnych kamieniach jest magiczna siła.

- Odwiedził nas pan Brown, ten z wytwórni -wspomniął. - Liczyliśmy, że może on coś powie... Bardzo nam współczuł. Też był zdziwiony, bo miał dla Wilsona kilka nowych ról. Razem z nami gubił się w domysłach, snuliśmy najróżniejsze przypuszczenia. Ponieważ Wilson pracował u niego, pan Brown pokrył cały dług.

- Z napiwkami?

- Pan Brown jest gentlemanem i nie chciałby zarabiać na służących. Bardzo interesował się tobą... Długo wypytywał, dokąd pojechałeś? Na jak długo? Z kim? Kazał opisać ciężarówkę, która cię zabrała, jej kolor i inne szczegóły... Chciał wiedzieć, kiedy wrócisz, sprawdzał rezerwacje. Mówił, że to ma związek z jakimś filmem.

- Chciał wiedzieć, kiedy wrócę?

22 Antylopa szuka myśliwego

Na werandzie wszystkie stoliki były już zajęte i panował miły gwar. Przechodziły dziewczyny w błyszczących spódnicach i mężczyźni w ciemnych okularach. Co chwilę ktoś z gości podnosił szklanę, mówiąc:

- Jestem przyjacielem Wilsona... Czekam na jego nowy film...

Ahmed zniknął, wrócił do swoich hotelowych obowiązków. Gdy zobaczyłem go znowu, biegi ku mnie z pilną wiadomością.

- Przysięgliśmy, że gdy się pokażesz, bezzwłocznie zawiadomimy wytwórnię - wołał głośno, przedzierając się przez tłum. - Właśnie to zrobiliśmy! I nie masz pojęcia, jak pan Brown serdecznie się ucieszył!

;

Kto z państwa popełnił ludobójstwo?

Najpierw pojawiły się zielone wzgórza. Potem palmy i czerwone linie dróg. Jedną z nich jechała ciężarówka, ciągnąc za sobą obłok kurzu. Żołnierze strzelali w powietrze, spędzając z lotniska stado kóz. Stewardesy wykonywały wyuczone gesty. Za godzinę zdejmą granatowe uniformy i w strojach plażowych położą się nad basenem.

W trzecim rzędzie siedział doktor Pierre de Duran. Jego żona Klarysa, de domo Uma-Wabu, nerwowo ścisnęła go za rękę.

- Byłam szczęśliwa w Grenoble i nie chciałam tu przyjeżdżać - powtarzała.

- Wojna skończona. Twój wygrali - uspokajał ją. - Ucieszą się, gdy cię zobaczą.

- Boję się - odpowiadała.

Za trzy minuty będą lądować w Lobo. Samolot zatrzyma się przed płaskim budynkiem z powiewającą nad nim flagą narodową. Na tarasach, po obu stronach monumentalnego wejścia, już zgromadził się radosny tłum.

Loty Air France wznowiono dopiero od tygodnia. Przedtem działała tu prywatna linia, obsługiwana przez pilotów ukraińskich. Z maszyn wyciekał olej, samoloty lądowały na plecach.

24 Antylopa szuka myśliwego

Opłatę pobierał pomocnik pilota i on też wyrzucał walizki na beton. Główne linie lotnicze unikały Lobo, oficjalnie ze względów bezpieczeństwa. Chodziło też o uniknięcie gorszących scen, kiedy to uciekinierzy szturmowali schodki samolotów i zamykali się w toaletach. Twierdzili, że jeżeli kapitan ich nie uratuje, to przed

budynkiem czeka już na nich milicja.

W miarę jak maszyna obniżała lot, Klarysa zaciskała dłonie na poręczach.

- Nie bój się - powtarzał Pierre. - To już jest inny kraj. Powstał nowy koalicyjny rząd, pojawiły się nawet autobusy z turystami.

Rok temu Pierre de Duran pracował w Lobo jako lekarz. Był członkiem miejscowej ekipy *Medicins sans Frontiers*. Jego roczny kontrakt dobiegał końca i nie zamierzał przedłużać pobytu.

Szpitałem zawiadywała rada. Dyrektor był wprawdzie jowialny i uczynny, ale czuło się, że ma związane ręce. Dostawienie łóżka zabrało mu tydzień, brakowało lekarstw, więc Pierre musiał sam je dokupywać. Nie ukryło się to przed pielęgniarkami i w rezultacie dyrektor zabronił mu tych praktyk.

W pewną środę wstrzymano zabiegi, na korytarzach zrobiło się nagle pusto. Zginęły gdzieś siostry z białymi wózkami, zaciekawieni chorzy podnosili głowy i nastawiali uszu. Gwar dochodził wyłącznie ze stołówki, gdzie odbywało się zebranie załogi.

Kto z państwa popełnił ludobójstwo? 25

Naprzeciw telewizora stał gęsty tłum. Przemawiał dowódca Połączonych Sztabów. Wystąpił w mundurze, na piersi błyszczały mu ordery. Pierre nie rozumiał słów, ale ton przemówienia był ostry. Mówca argumentował spokojnie, po czym zniemacka przechodził w krzyk. Zebrani żywo przyjmowali jego słowa, popierając go entuzjastycznie.

Następnego dnia trzech lekarzy nie przyszło do pracy, brakowało także kilku sanitariuszy. Pierre boleśnie odczuł nieobecność laboranta, który doskonale robił analizy krwi. Kiedy wszedł na salę, zauważył kilka wolnych łóżek.

- Gdzie są ci ludzie? - spytał. - Nie pamiętam, żebym ich wypisał.

- To byli Wabu - śmiali się pozostali chorzy. - Bardzo im się wczoraj polepszyło!

Pierre wrócił do swojego gabinetu. Szarpnął za klamkę, lecz drzwi były zamknięte. Usłyszał, jak ktoś delikatnie przekręcił klucz od wewnątrz.

- Klarysa? - zdziwił się. - Co tu robisz?

Z zaciekawieniem patrzył na dziewczynę. Była lekarzem, ukończyła studia w Belgii. Zwraçała uwagę niepospolitą urodą, wąskim nosem i wielkimi oczami.

- Czy możesz mnie ukryć? Chociaż na kilka dni? - wyszeptała.

Znal ją z widzenia, kilka razy wymienili przyjazne uwagi. Przyjeżdżał po nią młody oficer nowym sportowym jaguarem. Ilekroć słyhać było klakson, chorzy oblegali okna. Z tęsknotą patrzyli, jak młoda lekarka podbiegała do auta

26 Antylopa szuka myśliwego

i wsiadała, zatraskując za sobą drzwi. Potem maszyna okrążyła klomb i oddalała się w kierunku dzielnicy willowej.

- Dlaczego chcesz, żebym cię ukrył?

- Błagam... Wyjaśnię ci to później.

Szedł korytarzem pierwszy, po drodze zamknął kilkoro uchylonych drzwi. Zbiegli bocznymi, mało uczęszczanymi schodami. Obok wyjścia stały pionowo ustawione nosze, Klarysa przywarła za nimi do ściany. Pierre podjechał peugeotem i dał krótki sygnał. Z ulgą znalazła się w bezpiecznym wnętrzu auta.

Miasto było opustoszałe. Przejeżdżały ciężarówki z żołnierzami, przechadzali się grupami milicjanci z bronią przewieszoną przez ramię. Jedni mieli czerwone opaski

na ramionach, inni przewiązali sobie nimi głowy. Potrząsali butelkami piwa i śpiewali radosne pieśni. Unosili do góry zakrwawione maczety i uderzali nimi w okna samochodu.

- Uśmiechaj się - rzucił Pierre do dziewczyny. - Rób do nich jakieś przyjazne gesty. Wjechali do garażu, opuściły się za nimi automatycznie zamykane drzwi. Gdy weszli do pokoju, Klarysa zaciągnęła firanki.

- Co się dzieje? - spytał, nic nie rozumiejąc.

- Nie widzisz? Polują na Wabu. Nazywają nas karaluchami. W mieście pojawiły się afisze: „Młodzież depcze rozbiegane robactwo”.

Nagle zbliżyła się do niego, chcąc, aby jej się dobrze przyjrzał.

- Czy wyglądam na karalucha?

- Jesteś bardzo piękna.

Kto z państwa popełnił ludobójstwo? 27

Następnego dnia pojechał do ambasady. Strażnik nakazał mu zostawić wóz na zewnątrz wysokiego ogrodzenia. Konsul Moreau siedział za biurkiem.

- My też gubimy się w domysłach. Krążą pogłoski o rozruchach. - Bezradnie rozłożył ręce. - Napijesz się kawy? Wiemy tyle, co podaje radio. Nie mieszamy się do ich wewnętrznych spraw. Od wczoraj dostajemy setki próśb o wizę... Rzec jasna, wszystkim odmawiamy.

Na tarasie hotelu Wzgórza Afryki nie widać było podniecenia. Goście jak zwykle sączyli zimne napoje, grupa doradców rolniczych utworzyła robocze kółko. Dwoje dzieci bawiło się na brzegu basenu, mężczyzna w czepku szybko płynął kraulem.

- Czy coś wiesz? - zapytała go w przejściu Ann, kierowniczką agencji prasowej.

Krótko przycięte włosy, magnetofon w dłoni. Biła od niej sprawność i zaradność, a jeśli czar, to tylko gdy to było niezbędne. -A co nowego u ciebie w szpitalu?

- Mamy trzech skaleczonych - odpowiedział Pierre. - Maczeta się po nich ześlizgnęła.

Przed wejściem zatrzymały się dwa land-rovery. Jeden, pomalowany w biało-czarne pasy, miał przypominać zebra, na drugim widniał napis „Safari”. Wypadli z nich urzędnicy biur turystycznych.

- Wstrzymać przylot grupy z Hong Kongu! - krzyczeli w kabinach. - Szwedzi na Madagaskar! Co? Nie zechcą? To powiedz im, że tam jest ciekawsza przyroda!

28 Antylopa szuka myśliwego

Zbliżała się pora kawy. Kelnerzy nakrywali stoły obrusami i ustawiali ozdobne filiżanki. Przy stoliku z widokiem na ogród siedział Belg, monsieur Bidault.

Prowadził rozmowę z emerytowanym dyplomata, konsulem honorowym

Luksemburga. Obaj w jasnych dwurzędowych marynarkach, w klapach połyskiwały im znaczki świadczące o przynależności do zamkniętych klubów. Po przejrzeniu miejscowych gazet spojrzeli na oddaloną kępę palm.

- Żołnierze na ulicach, w radiu marsowa muzyka... Widziałem takie sceny setki razy - oznajmił konsul. - I zawsze oznaczały to samo: przesilenie w rządzie.

- Przepraszam, że się wtrącam - rzucił młody Szwed od sąsiedniego stolika. -

Przejeżdżałem wczoraj przez Uta i Qalu... Na placach leżały dziesiątki zabitych.

- Ależ oczywiście, mój panie, oczywiście. - Honorowy konsul promieniał dobrocią. - Ma pan zmysł obserwacji, nic nie ujdzie pana uwagi. Ale czy widział pan

kiedykolwiek profesora łaciny, który na lekcję przyszedłby bez trzcinki?

- Przede wszystkim nie należy winić rządu, rząd jest Bogu ducha winny - monsieur Bidault lojalnie stanął w obronie przyjaciół. - Mamy do czynienia z niesforną młodzieżą... Młodych ludzi upaja posiadanie broni i wpadli w patriotyczny ferwor. Ktoś rozpuścił pogłoskę, że Wabu chcą wygrać wybory. Niezauważalnie stali się większością. Xabu przyjęli to jako zdradziecki krok.

Kto z państwa popełnił ludobójstwo? 29

Monsieur Bidault uchodził za osobę dobrze poinformowaną. Jego cienki, na czarno barwiony wąsik był przedmiotem drwin, ale słuchano jego opinii uważnie.

Wybaczano mu, kiedy podnosił się w środku uroczystego przyjęcia i dyskretnie zegnał z gospodarzem. „Generałowi nie każe się czekać” albo „Prezydentowa wymogła na mnie, abym jej doradził w wyborze firanek” - podawał jako usprawiedliwienia.

- Takie akcje rzadko się udają - rzucił Pierre.

- Przeciwnie! - żywo zaprzeczył Belg. - Tylko że o udanych nie ma kto pamiętać.

Kiedy Pierre wrócił do domu, stół był nakryty wyprasowaną serwetą. Naprzeciw siebie stały dwa talerze, a na środku drewniana misa wypełniona sałatą.

- Oliwa się kończy - oznajmiła Klarysa. - I nie znalazłam majeranku.

- Zadomowiłaś się.

A kiedy zjedli sałatę i znaleźli się w ogrodzie, powiedziała niepewnie: - Pójdę już...

- Chcę, żebyś została - odparł. - I nie podchodź do okna. Jadąc tu, spotkałem ogrodnika i służącą... Od razu dałem im tydzień wolnego. Zwłaszcza ogrodnik bardzo mi dziękował. Ochoczo pobiegł kupić maczetę, chce przyłączyć się do milicji.

Następnego dnia Pierre wrócił do ambasady. Przed bramą stał niespokojny tłum.

Każdy miał w ręku jakieś dokumenty i pchał je przed oczy

30

Antylopa szuka myśliwego

nieruchomych żandarmów. Ludzie udowadniali swoje związki z Europą - ten kończył studia w Kopenhadze, tamten ma już zakupione bilety.

- Klarysa pochodzi ze znakomitej rodziny - tłumaczył Pierre zmęczonemu Moreau.

- To dlaczego nie wyjechała wcześniej? - konsul wytarł spoconą twarz. - Rodzina może być znakomita, ale tylko w Lobo. W Paryżu nikt o takiej rodzinie nie słyszał. Czy widziałeś, jak palą się chaty z trzciny? Wielki płomień, ale za chwilę spokojnie.

Mamy ścisły zakaz wydawania wiz.

- A paszportów?

Moreau spojrział zdziwiony na natręta.

- Tutaj wszyscy powariowali! - zawołał. - Za kilka dni to zamieszanie się skończy.

Ambasador otrzymał uspokajające wieści.

Konsul smakował każdą minutę rozmowy. Pierre rozejrzał się bezradnie i sięgnął do klamki. Usłyszał głos urzędnika.

- Paszport wydam, jeżeli weźmiecie ślub... I odbędą się pokładziny.

Dalszy przebieg wydarzeń w Lobo Pierre i Klarysa śledzili z Grenoble. On otrzymał pracę w szpitalu, ona złożyła dyplom w Ministerstwie Zdrowia i czekała na zakończenie formalności. Nad miastem wisiały ciemne chmury, ale na wzgórzach błyszczał śnieg. Warunki narciarskie określano jako dobre.

Wynajęli niewielkie mieszkanie. Pierre przywiózł kilka antyków z domu, Klarysa zakupiła nowe meble. Chciała wprowadzić nieco elemen-

Kto z państwa popełnił ludobójstwo? 31

tów afrykańskich, ale to, co widziała w sklepach, wydawało jej się nieco sztuczne.

Coraz bardziej pociągały ją góry. Co niedziela z grupą przyjaciół odwiedzali okoliczne stacje narciarskie. Chwiejące się wagoniki wynosiły ich ponad zalegającą w dolinie warstwę chmur.

W drugą sobotę po przyjeździe Pierre przedstawił Klarysę swym rodzicom. Mieszkali w pobliskiej miejscowości, w zasobnym piętrowym domu. Rozległy ogród otoczony był starym murem. Nad wjazdem zwieszały się gałęzie drzew. Dziewczyna z niepokojem jechała na to spotkanie. Długo rozważała, w co się ubrać.

- Jak najmniej złota - przestrzegał ją Pierre. - I nie za wielki dekolt.

Rodzice wyszli przed dom, powitali młodą parę na podjeździe. Ojciec, emerytowany wojskowy, chwalił urodę Klarysy, a także wybąkał kilka pochlebnych słów o Trzecim Świecie.

- Tu nie chodzi o Trzeci Świat! - upomniał go Pierre.

- W rzeczy samej - zgodził się starszy pan. Matka uściskała synową, a potem z oddalenia

zlustrowała ją od stóp do głów. Dobrze oceniła jej smukłą figurę, pochwaliła cienkie pęciny.

- Jaką szkołę kończyłaś, moje dziecko?

- Byłam w internacie u sióstr Sacre-Coeur.

- To dlatego nie mówisz z gardłowym akcentem, tak jak większość twoich pobratymców! - ucieszyła się pani de Duran. - W kraju mamy coraz więcej Afrykańczyków, więc nie będziesz się czuć samotna.

32 Antylopa szuka myśliwego

Pocałowała Klarysę w policzek, obie kobiety objęły się ciepło.

Po herbacie, gdy dziewczyna wyszła do ogrodu, pani de Duran zwróciła się do syna:

- Mieć czarną synową to obecnie całkiem dopuszczalne. Zdarza się w wielu rodzinach. Gorzej z wnukami... Z czasem mogą się zrobić nieufni, mieć trudności ze znalezieniem sobie miejsca. Może im przyjść do głowy jakaś działalność wywrotowa, zaczną tworzyć rewolucyjne kółka... Ale za wcześnie o tym myśleć. Na razie życie beztrasko i szczęśliwie.

- W rzeczy samej - dodał ojciec.

- Lubię twoich rodziców - powiedziała Klarysa, gdy wracali. - Wydaje mi się, że zrobiłam na nich dobre wrażenie. Z ojcem trudno mi było nawiązać kontakt... Ale matka ma w sobie dużo serdeczności. Przyjęła mnie, tak jak u nas przyjmuje się córkę.

Oprócz nart w zimie i wakacji nad morzem Klarysa polubiła prowansalskie potrawy. Chociaż przyprawiała je może zbyt ostro i wtedy Pierre wytykał jej afrykański smak. Cieszyły ją górskie krajobrazy, wieczorne wyprawy do kina, a kiedy mąż nie szedł do pracy, długie poranki w łóżku. Lubiła nabożeństwa z chórami i biła się w piersi, kiedy niesiono monstrancję.

- Tą radością chwalisz akt stworzenia - powiedział Pierre, gdy z plecakami szli górską doliną. - To jakbyś mówiła: udał ci się twój twór, Staruszk. Doskonałe są

twoje wiśnie i pomidory, i śnieg na szczytach, i plaża, i ludzie są tacy uprzejmi...

Kto z państwa popełnił ludobójstwo? 33

- A gdy wrócimy, wejść do mojego zadbanego domu - dodała.

Znała nawet zapomniane święta, wiedziała, jak się obchodzi Zaduszki, a kiedy w Wielki Piątek uniósł do ust kawałek befsztyka, wytrąciła mu widelec z ręki.

Pewnego dnia, gdy wsiedli do samochodu, spostrzegł zwisający z lusterka łańcuszek zakończony okrągłym medalionem.

- Zdejmij te afrykańskie fetysze - rzucił gniewnie.

- To jest opiekun podróży... -Zdejmij.

- Patrzysz na mnie, jakbyś chciał wyczytać, ile jest we mnie afrykańskiej krwi.

-Wiem, ile jej masz.

- Więc nie zdziwisz się, jeśli kupię żywego barana i zarżnę go na środku pokoju?

- Nie zdziwię się.

- Nie zdziwisz się, kiedy odsunę dywan i na środku rozpalę ognisko?

- Nie zdziwię się.

- A kiedy wezmę nóż i zrobię ci na policzku plemienną bliznę?

- Wytrę krew.

- Tyle we mnie czujesz obcości?

- To nie jest obcość. To tajemnica. -I nie chcesz tej tajemnicy poznać?

- To niemożliwe.

- To znaczy, że zadowolasz się tylko połową mnie.

34 Antylopa szuka myśliwego

Innym razem mówił:

- Jeżeli masz w genach, że chleb się łamie, a nie kroi, w pierwszy dzień tygodnia nie śpi się z mężczyzną, natomiast trzeba to zrobić, kiedy księżyc wchodzi w trzecią kwadrę, to ja te wierzenia cenię i mam dla nich pełny szacunek.

- Nie zależy ci na mnie... Zostawiasz mnie mojemu losowi.

O kryzysie w Lobo mało już mówiono. Odżegnywanie kraju od czci i wiary mogłoby tylko zaostrzyć sytuację. Specjaliści cytowali przykłady krajów, gdzie rządy przypierane do muru stawały się jeszcze okrutniejsze dla ludności. Z rzadkich doniesień wynikało, że w Lobo zapanował spokój. Nikt jednak nie wiedział, co dzieje się na prowincji. Raz tylko w telewizji pojawił się naoczny świadek. Wywiad prowadziła dawna znajoma, Ann. Jej rozmówca stracił całą rodzinę, a on sam, jak to określił, cudem wymknął się spod noża. „Jak pan się wymknął?” - dociekliwie pytała Ann. - „Przykryłem się liśćmi”.

Po kilku miesiącach przyszła zdumiewająca wiadomość. O czwartej nad ranem do Lobo wjechała kolumna ciężarówek. Wysypali się z nich partyzanci Wabu i bez trudu opanowali budynki rządowe. Brygady milicyjne pochłonęła ziemia, a słowo „karaluch” wyszło z użycia. Nowe władze zaczęły wyławiać aktywistów i zamykać ich w obozach przejściowych. Jakich obozach? Gdzie? Wysłano obserwatorów. Donieśli o złych warunkach, braku wody i zatłoczonych celach.

Kto z państwa popełnił ludobójstwo? 35

W ONZ bito na alarm, rzucono się uwiezionym milicjantom na ratunek.

Miesiąc później Pierre został zaproszony do pracy w komisji, której zadaniem było zapobieżenie aktom zemsty. Jednej zbrodni nie zmaże następna, nacisk należy kłaść

na pojednanie. Odpowiadało to jego przekonaniom i bez zwłoki podpisał kontrakt. Postawił tylko jeden warunek: Klarysa pojedzie razem z nim. Przewodniczący komisji, Mr King, Filipińczyk, zgodził się, choć dosyć niechętnie. Żona może być tylko osobą towarzyszącą. Ma się trzymać z dala od prac komisji i nie próbować wpływać na ich przebieg. Jako poszkodowana, mogłaby być w swoich ocenach stronnicza, a konieczna jest całkowita bezstronność.

- Boże! - wykrzyknęła Klarysa, kiedy samolot zbliżył się do lotniska. Uciekały do tyłu kępy palm, pojawiły się okrągłe chaty z bitej gliny, a potem płaskie bungalowy.
- Nie bój się - powtórzył Pierre.

Na lotnisku szła o krok przed nim, ze skórzaną torbą przewieszoną przez ramię. Miała w niej tylko kosmetyki, ostatni numer „Le Monde” i plastikową butelkę wody mineralnej. Nic, co można by zakwestionować, pytać o cenę kupna lub sprzedaży, sprawdzać na listach produktów wzbronionych. Podała policjantowi swój francuski paszport. Na mosiężnej tabliczce, na kieszeni munduru, widniała jego ranga i nazwisko. Typowe nazwisko Xabu, stopień: sierżant. Nagle

36 Antylopa szuka myśliwego

przestraszyła się, że „Le Monde” mogą wziąć za wrogą propagandę.

- Witaj w kraju, siostró - uśmiechnął się policjant. - Mam nadzieję, że się odprężysz i odpoczniesz. Słyszałem, że w Paryżu straszny ruch. Czy to prawda, że jest tam za dużo samochodów?

- Nie mieszkam w Paryżu - odpowiedziała. To pytanie zmroziło ją. Mogło być policyjnym podstępem. Jeśli ona ten Paryż potwierdzi, on weźmie to za kłamliwe zeznania... Sierżant wbił pieczęć i uprzejmie ją przepuścił.

„Co powiedziałbyś rok temu? - myślała Klarysa. - Wydałbyś wargi? Zbliżył pysk i z bliska wybałuszał rozjuszony oczy? Żądał, abym rozłożyła nogi czy dała ci zwitek pieniędzy? Jakie było twoje ulubione narzędzie? Maczeta? Zardzewiały bagnet?”. Sierżant mówił coś do jej męża, lecz nie dobiegło do niej ani jedno słowo. Przyłożył pieczęć, nie sprawdzając paszportu. Pierre odpowiadał grzecznie i jeszcze przez chwilę wymieniali żarty. Czekwała na niego, nie chciała oddalić się na krok.

- Dlaczego z nimi rozmawiasz? - zapytała, nie odwracając głowy.

- Bo są uprzejmi.

W hallu lotniska było wielu policjantów, tragarze przeciskali się z wózkami. Klarysa omijała mężczyzn wzrokiem. Cały czas w głowie rodziły jej się pytania: „Co robiłeś rok temu? Który z was obcinałby mi piersi? Ten w koszulce

Kto z państwa popełnił ludobójstwo? 37

z napisem Coca-Cola? Czy ten mały z wybitymi zębami?”.

Przydzielono im podwójny pokój, zwany apartamentem prezydenckim. Personel hotelu zgotował im serdeczne przyjęcie. Dwóch portierów niosło walizki, a gdy znaleźli się w pokoju, młodszy z nich włączył telewizor, a starszy zajął się klimatyzacją.

- To są już inni ludzie - mówił Pierre, gdy służący zostawili ich samych. - Całego narodu nie wolno obwiniać, popełnilibyśmy kardynalny błąd.

- Oczywiście, że byli także niewinni... - Klarysa przenosiła suknie do szafy. Nagle zatrzymała się w pół drogi. - ...Tylko ciekawi mnie, ilu ich było? Pięciu? Trzech?

Jeszcze tego samego popołudnia odbyło się wstępne zebranie, gdyż członkowie komisji musieli się nawzajem poznać. Z braku lepszego pomieszczenia wybrano pokój państwa de Duran. Klarysa zasunęła drzwi do sypialni i usiadła przy bocznym stoliku.

Najpierw przedstawił się Mr King. Od dziesięciu lat pracował w ONZ, przedtem pięć w pokrewnych organizacjach. „Gdy zaszła taka potrzeba, bez wahania mnie wypożyczano” - oznajmił z nieśmiałym uśmiechem. - Zawsze miałem spakowane walizki. W jednej ubrania na śniegi i mrozy, w drugiej na pustynie i tropiki”. Mr King z łatwością przekraczał bariery kultur, miał ku temu zamiłowanie i zdolności.

Znajomość czterech języków i szerokie odczytanie pomagało mu w wy-

38

Antylopa szuka myśliwego

pełnianiu obowiązków. W ciągu ostatnich lat badał proces rozszerzania się pustyni w Nigerze oraz rozpowszechnianie się wirusa HIV w Swazilan-dzie. Potem wojna w Bośni i niekończące się próby wytyczenia granic Erytrei. Jego ostatnią misją była ochrona wielorybów... Japończycy znowu wysyłają flotę, tym razem jakoby w celach naukowych.

Następnie kilka słów o sobie powiedziała pani Gomez, Argentynka.

Czterdziestoletnia, o śniadej twarzy, w jej zachowaniu znać było lata dyktatury.

Wiedziała, czym grozi wyrażanie przedwczesnych opinii, i starała się nie wpaść w tę pułapkę.

- Nie, nie mam doświadczenia na arenie międzynarodowej - wyznała. - Ale za to pracowałam w kraju.

- Czy była pani prześladowana? - zapytał Mr King.

- Trochę - odpowiedziała. - Ale nie więcej niż wszyscy.

Życiorys młodego prawnika z Genewy składał się z dwóch zdań: skończył studia, kocha alpinizm. Podkreślił, że nie ma żadnych z góry powziętych osądów, o wszystkim chce się przekonać sam. Czeką na materiały źródłowe.

- Kto będzie protokołował zebranie? - spytał Pierre.

Mr King poprosił o pomoc Klarysę.

- Ja? - zdziwiła się. - Czy na pewno się do tej pracy nadaję?

- Panie doktorze - zwrócił się Mr King do gospodarza. - Niech pan poprosi panią.

Jestem pewny, że pana usłucha.

Kto z państwa popełnił ludobójstwo? 39

Klarysa zapisała datę u góry stronicy. Mr King zaczął od krótkiego wprowadzenia.

- Cofnijmy się do źródeł tych wydarzeń. Nie mamy pewności...

- Proszę o powtórzenie - przerwała Klarysa. Czeką z zawieszonym piórem.

- Wydarzeń... - powtórzył przewodniczący. - Używamy zwrotów, które nie przesądzą o wynikach dochodzeń. - W jego głosie było dużo cierpliwości. -

Teoretycznie jeszcze nie wiemy, co się stało, nie możemy polegać na niesprawdzonych wiadomościach. A może były to tylko sporadyczne wypadki? A jeśli były zawinione przez ofiary?

„Sporadyczne wypadki” - zapisała Klarysa.

Każde zdanie przewodniczącego miało swój wyważony sens i logicznie wpływało z poprzedniego. Padały zwroty: moralne zadośćuczynienie, zrab etyczny i ekonomia.

Ekonomia, która leczy wszystkie rany. Chęć odnalezienia winnych często bywa

nadludzkim przedsięwzięciem, prawie nigdzie to się nie udaje. Nie o roztrząsanie przeszłości tu chodzi, nowe zło nie naprawi starego.

Było to przemówienie płynne i uspokajające. Klarysa pomyślała, że gdyby je spisać, powstałaby poprawnie napisana książka.

Kiedy Mr King skończył, rozległy się stłumione oklaski. Pani de Duran siedziała nad kartką papieru.

- Proszę mi wybaczyć - powiedziała. - Ciągłe mam trudności...

40 Antylopa szuka myśliwego

Na wargach Argentynki pojawił się przelotny uśmiech. Pierre tarł czoło, marzył, aby ktoś przerwał zapadłe milczenie.

- Ach, już wiem - znowu odezwała się Klarysa. Mówiła jak uczenica, która przypomniała sobie lekcję. - Napiszę, że to dobrze, kiedy ludzie żyją w zgodzie, i fatalnie, kiedy zaczynają się niesnaski.

- Następnym razem niech protokołuje pani Gomez albo Szwajcar - powiedział Pierre, gdy członkowie komisji zebrali swoje papiery i wyszli. - Bałem się, że nie utrzymasz języka za zębami. Wspomnisz o tej siostrzenicy, która leżała na polu, albo o kuzynach...

- Nie wspomniałam.

Taksówka stała z otwartymi drzwiami. Gdy wsiedli, Klarysa wydała krótkie polecenie. Najpierw jechali bulwarem Napoleona, rojnym i hałaśliwym jak dawniej. Przybyło trochę reklam, tu i ówdzie otwarto nowy sklep. Przed wyjazdem z miasta skręcili na prawo. Droga stała się wąska i błotnista, zwisające gałęzie muskały dach wozu.

- Za chwilę zobaczysz mój dom - oznajmiła Klarysa z dumą. - Od tego kamienia zaczyna się posiadłość moich dziadków.

Murowany wjazd stał otworem. Żelazna brama leżała w trawie, przejechali po niej z turkotem opon. Dom był piętrowy, stał na wysokiej podmurówce. Przed nim ganek z drewnianą balustradą. Na dachu leżały suche gałęzie, brakowało kilku dachówek. Na murze rysowały się wilgot-

Kto z państwa popełnił ludobójstwo? 41

ne plamy, a w miejscach, gdzie już odpadł tynk, prześwitywały powiązane drutem trzciny.

Klarysa pouczyła kierowcę, że ma zatrzymać wóz w miejscu, gdzie kończy się zwirowa aleja. Ruszyli w stronę domu. Na schodach siedziały kobiety, łuskając fasolę do emaliowanych miednic. Młodsza karmiła niemowlę. Dookoła biegały dzieci i z braku prawdziwej piłki rzucały kamykiem owiniętym w szmatkę.

„Mieszka tu teraz wiele rodzin” - pomyślała Klarysa. W oknach jej pokoju czerniały rozbite szyby, w otwartym garażu leżały materace i stał stolik z pokoju jej matki. Z samochodowych wraków wyskoczyły psy.

Zatrzymali się przed wejściem do domu.

Przed gankiem, pod drzewami, rozciągało się pole poszarpanych namiotów. Tliło się ognisko, wił szary dym i grało radio zawieszona na gałęzi. Klarysa zbliżyła się do grupy kobiet. Chciała je pozdrowić, przecież nie mogły jej zapomnieć...

- Czego tu chcesz? - odezwała się najstarsza. - Wabu nie powinni tu przychodzić!

Kobiety wstały, zsypały fasolę do worka, a potem dobrze go utrzęśli. Wyglądało, że

rozmowa z przybyłą jest skończona.

Klarysa chciała pośpieszyć z wyjaśnieniem, że obecnie rządzi koalicyjny rząd i Wabu już się nie zabija. A nawet przyjechała komisja i jej mąż... Ale one walczyły o swoje miejsce w tym domu.

- Co się stało, to się nie odstanie! - powtarzały gniewnie.

42 Antylopa szuka myśliwego

Pojawiło się więcej kobiet, schodzili się zaniepokojeni mężczyźni.

- Chciałabym znaleźć moje stare zdjęcia... I może niebieską szkatułkę, którą dostałam od babki - prosiła Klarysa.

Otoczyła ją gromada dzieci i dotykały z zaciekawieniem jej sukni. Pogłaskała małą dziewczynkę po głowie.

- Nie ruszaj ich! Wabu! - wrzasnął chłopak, który stał najbliżej. Pociągnął dziewczynkę za rękę. - Jeszcze nam tu sprowadzisz choroby!

Kobiety krzyknęły na dzieci, odpędziły je od Klarysy.

- Trzeba bronić nasze dzieci przed zarazą! - powtarzały.

- Wszystko, co należało do Wabu, wynieśliśmy przed dom - wyjaśnił starszy mężczyzna w białej czapce. Ta czapka należała kiedyś do ojca Klarysy. - I spaliliśmy. Takie były rozkazy. Wszystkie książki, ubrania... Kanapa paliła się najdłużej i rozchodził się okropny smród.

- Tak było - zaświadczał ktoś z tłumu. - To można sprawdzić.

Klarysa rozpoznała mężczyznę, który wydawał się być tu przywódcą. Nazywał się Joseph, jej matka kupowała od niego owoce. On też ją poznał i w duchu się dziwił... Uchowała się córka starych Urna-Wale? Kto by w to uwierzył? Jak to się mogło stać? A więc nie było im tak źle, jak mówią. Wskazał na niewielki wzgórek pod palmami. Kto z państwa popełnił ludobójstwo? 43

- Widzisz tę kupę popiołu? Może tam coś znajdziesz. Wolno ci w tym popiele grzebać.

- Pogrzeb sobie w tych śmieciach... Ile tylko chcesz - zachęcali ją ludzie. - Damy ci nawet jakiś kij.

Tłum gęstniał. Mężczyźni wychodzili z przybudówek. Jeden podniósł z ziemi widły, większość miała przywiązane do paska maczety.

Kierowca uznał, że lepiej będzie zawrócić wóz i stanąć przodem do bramy wyjazdowej. Ludzie rozstapili się niechętnie, narzekali, że ich roztrąca.

- O mało nie przewrócił dziecka - wołali. - Powinien bardziej uważać.

- Jadę, a wy róbcie, co chcecie - rzucił kierowca do Pierre'a. - Ten samochód utrzymuje mnie i rodzinę.

Znowu jechali błotnistym traktem. Klarysa spojrzała do tyłu. Jej dom już zginął za drzewami, a nowi mieszkańcy rozchodzili się do swoich zajęć.

Przez miasto, jak przed rokiem, przetaczał się wielobarwny tłum. Kobiety niosły na głowach tace z owocami, z bocznych ulic wypadali rowerzyści. Jedyne zmiany to napisy. Nad sklepami zniknęły imiona Wabu i zastąpiły je nazwiska nowych właścicieli.

Z ulgą pomyślała, że wraca do hotelu. Uprzejma służba poda jej herbatę i będzie ją tytułować madame de Duran. Ale między sobą powiedzą: „Ta suka, która się uważa

za francuską damę".

Następnego dnia po południu Klarysa zwróciła się do męża:

44 Antylopa szuka myśliwego

- Mam teraz tyle czasu... Co chcesz, żebym robiła?

- Pij kawę na tarasie... Zawsze chciałaś przeczytać całego Balzaka. W hotelu jest sala gimnastyczna. Ćwicz.

- Nikt ich nie widział. Nikt o nich nie słyszał - odparła. Pierre zrozumiał, że mówiła o swych zaginionych bliskich. - To nie tak, jak w waszych krajach... Tam każdy dostawał swój numer i można go było znaleźć w kartotekach.

Pierre stał w milczeniu. Miał dość tej rozmowy. Brakuje tylko, aby jego żona wygłaszała wśród znajomych jakieś okropności.

- A my jesteśmy tacy zacofani. Żadnych numerów. Nic.

Na werandzie, jak zwykle o tej porze, pił kawę monsieur Bidault. Podchodzili do niego mniej i bardziej wpływowi znajomi, z jednymi rozmawiał, innych odprawiał ruchem dłoni. Ucieszył się z przybycia Klarysy i jej męża.

- Wasz nagły wyjazd stał się głośny - komentował wydarzenia z przeszłości. -

„Dlaczego nie przyszli do mnie - zapytywał generał. - Pani de Duran byłaby mile widziana, byłaby ozdobą towarzystwa". A poza tym nic się nie zmieniło. Z wielkiej chmury mały deszcz. Policja ma teraz mniej władzy, a w prasie toczą się szczere dyskusje. Poszukiwani są specjaliści wykształceni na zachodzie, bo z nimi łatwiej jest prowadzić biznes.

- Łatwiej? - zdziwił się Pierre.

- To może być złudzenie, to może się skończyć, ale zaczyna się gospodarczy boom - ciągnął.

Kto z państwa popełnił ludobójstwo? 45

nał Belg. - Już nie jest ważne, kogo się zna, wszyscy znają wszystkich. Istotny jest stopień zażyłości.

- Nikogo tu nie znam - rzucił Pierre. - Przyjechałem z Komisją do Badania...

- Wiem - skrzywił się Belg. - Słyszałem. Bidault znał pełną nazwę tej komisji, ale nie lubił, gdy ktoś ją cytował. Uważał, że już w samej nazwie tkwi domniemanie zbrodni, a to przeczy zasadzie bezstronności.

Klarysa wstała. Nadszedł czas, aby się przebrać do kolacji.

- Ale ty zostań - powiedziała do męża. - Zapytaj monsieur Bidaulta, co myśli o procesie pojednania.

Był to temat, który Bidault dobrze znał.

- Tylko ludzie o złym charakterze chowają urazy. Pojednanie jest naszą narodową specjalnością! W ciągu roku odbędą się wolne wybory. Xabu, obecnie liczebnie silniejsi, utworzą demokratyczny rząd.

- A co na to Wabu?

- Wabu przeszli przez trudne doświadczenia - przyznał z bólem monsieur Bidault. - Trzeba to szanować. Budują pomniki, mauzolea... Każda zbiorowa mogiła oddala ich od rzeczywistości, prawdopodobnie w ogóle nie pójdą do urn.

- A pański generał? - pytał dalej Pierre. Znana była zażyłość Bidaulta z wybitnym wojskowym, o którym ostatnio mało się mówiło. - Uciekł? Zniknął?

46 Antylopa szuka myśliwego

- Musi upłynąć trochę czasu, nim znowu wypłynie - syknął Belg. - Pomawiają go, że grał w pleć.

-Wpleć?

- Przeprowadzali ciężarną kobietę i kilku oficerów zgadywało: chłopiec czy dziewczynka. Robili przy tym poważne zakłady. Niecierpliwi hazardziści, by rozstrzygnąć zakład, rozcinali jej maczetą brzuch. Ta gra podobno przyszła tutaj z Bośni.

Pierre siedział w milczeniu.

- Generał jest oburzony tymi posądeniami - ciągnął Belg. - Zanim podejmie państwową służbę, musi się z tych zarzutów oczyścić. Czy widzi pan tę młodą parę? Tych ludzi, którzy właśnie są na schodach? Wysocy i uśmiechnięci?

Nisko opuszczone na biodrach jeansy odsłaniały gładki brzuch dziewczyny. Obcisłą koszulkę zawiązała niedbale na supeł. Obok szedł chłopak w szortach khaki i obejmował ją w pól. Nieśli szklanki z pomarańczowym napojem, wyglądali na Amerykanów.

- Bardzo cenieni specjaliści.

Na zaproszenie Belga młodzi ludzie chętnie zajęli miejsca przy stoliku. Dumni byli ze swojej profesji, w ciągu ostatnich piętnastu lat bezustannie proponowano im kontrakty.

- Ustalamy tożsamość ofiar - mówił chłopak. Celowo unikał zwrotów zbyt technicznych. -Najpierw odkrycie zwłok, potem praca miotełkami. Na przenośnych stołach układamy obojczyki, czaszki... My je wydobywamy, kto

Kto z państwa popełnił ludobójstwo? 47

inny je zlicza, a archiwista przyczepia do kości numerki.

- Szukamy dokumentów, szczątków ubrania. Czasami wystarczy kolorowa wstążka...

- dodała jego towarzyszka. - W Bośni było łatwiej. Tam ludzie mieli swoje lekarskie dossier. Wystarczał gwóźdź w pieszczelu albo szczeka. Fachowy dentysta pozna swoje plomby.

Jej ręka nie schodziła z kolana mężczyzny. Było kościste jak naga czaszka i zapewne równie okrągłe.

Następnego dnia zajechały przed hotel dwa land-rovery, oznaczone dużymi literami UN. Do pierwszego wsiedli delegat rządu i Mr King, do drugiego - pozostali. Po przebyciu dziesięciu kilometrów zatrzymali się przed budynkiem z cegły, zbudowanym jeszcze w czasach kolonialnych. Gdy otwarto bramę, wjechali na udeptany dziedziniec.

Powitał ich pułkownik w otoczeniu czterech wojskowych, cywilni urzędnicy stali na uboczu. Pułkownik wyjaśnił, że jest to punkt zbiorczy więźniów. Przetrzymano tu podejrzanych, często aby ich ochronić przed aktami zemsty. Siedzą tu szeregowi partyjni, członkowie oddziałów szturmowych, ochotnicy i milicjanci. Jedni pójdą pod normalny sąd, inni zostaną osądzeni przez ga-kaca. On sam należy do plemienia Xaba... Szybko przejrzał na oczy, i gdzie mógł, chronił uciekających Wabu. Jako „skruszonemu" władze mu ufają i dlatego zachował stopień i pozycję.

48

Antylopa szuka myśliwego

Stali na rozległym placu, z czterech stron otoczonym podłużnymi budynkami.

Wyglądały jak stajnie zamienione na więzienie. Pomędzy drewnianymi słupami

wisiała brama z kolczastego drutu, trzy pozostałe prześwity zagradzały platformy dla strażników. Przez wąskie okna i siatki w drzwiach wpatrywały się w nich setki ludzkich oczu.

Pułkownik poprawił czerwony beret, uderzył się po lampasach ozdobną trzcinową pałeczką. Postąpił kilka kroków.

- Kto z państwa popełnił ludobójstwo? - zawołał.

Cisza.

- A kto jest niewinny?

- Ja! Ja! - Więźniowie wystawiali ręce na zewnątrz, zza krat machali czapkami.

Krzyki nie ustawały. - Ja, ja!

- Proszę... - komendant zwrócił się do członków komisji. - I jak w takich warunkach pracować? Niewygodnie im tutaj! Ale w sądzie nie można im niczego udowodnić. Świadkowie? Skąd ich wziąć? Kto da wiarę kilku wystraszonej ofiarom?

- Długo tu siedzą? - zapytał Pierre.

- Już prawie rok.

- A czym ich karmicie? - Argentynka wyciągnęła notes.

- Tym co przyniosą rodziny.

- A jakie są warunki higieniczne? - zainteresował się Szwajcar z Genewy. - Jakie przysługują im rozrywki kulturalne i czy ustalony jest harmonogram zajęć?

Kto z państwa popełnił ludobójstwo? 49

Oficer znowu uderzył się trzcinką po lampasach.

- Ja nie jestem od udzielania wywiadów.

Wrócili do biura. Pod sufitem warczał krzywo zawieszony wiatrak. Na stole stały dwa telefony i piętrzyły się teczki uwięzionych. Na każdej widniał fioletowy numer, ten sam, pod którym więzień figurował w rejestrze.

- Sądy są przeciążone, mają czas tylko dla przywódców - informował pułkownik. - Ale większość z nich już należy do „skruszonych”. Na procesach obserwatorzy żądają dowodów, a nie pomówień i poszlak. Jeżeli oskarżony zabił w swojej wiosce wszystkich Wabu, to wyjdzie na wolność i będzie się śmiał.

- Jeśli człowieka lekko ukarać, to krótko pamięta - dodał z zadumą cywilny urzędnik.

- A jeśli ukarać ciężiej? - zapytał przewodniczący King.

- To pamięta dłużej.

- A jeśli wybaczyć? W końcu to były wydarzenia historyczne. Ludzie działali z ideowych pobudek.

- Jeśli całkiem wybaczyć? To zapamiętają na całe życie.

- Co zapamiętają?

- Tego nie mogę powiedzieć.

- Dlaczego?

- Żeby wysokiej komisji nie obrazić.

Wracali w milczeniu. Zastanawiali się, w jakim duchu sporządzić raport. Szwajcarski prawnik wrócił do sprawy „skruszonych”.

50 Antylopa szuka myśliwego

- To bardzo ciekawy koncept - rzekł. - Godny naśladowania. „Skruszeni” powinni dostawać dodatek do pensji.

- Coś ciekawego? - spytał Pierre. Klarysa leżała na sofie i czytała gazetę.

- Dużo starych nazwisk... Wciąż rośnie liczba „skruszonych”.

Na pierwszej stronie widniała fotografia prezydenta, stał w otoczeniu zagranicznych gości. Do Lobo przyjeżdżały liczne delegacje, duchowni studiowali teorię wybaczenia, handlowcy sprzedawali luksusowe auta.

Na wewnętrznych stronach pisma toczyła się dyskusja o pielęgnacji dzieci. Noszenie niemowląt na plecach uznano za niezwykle pozytywne. Dziecko słyszy bicie serca matki, czuje jej zapach i to je ogromnie uspokaja. Inna sprawa, że zawiązany z przodu supeł spłaszczka kobietom niepotrzebnie piersi.

Klarysa przyniosła tacę z naczyniem na lód i dzbanek soku pomarańczowego. Wziął ją za rękę i przyciągnął ku sobie.

- Co robiłaś?

- Włóczyłam się po mieście... Zaglądałam do sklepów. Na chwilę wstąpiłam do katedry. Panowały tam cisza i chłód.

- W katedrze schronili się ostatni Wabu?

- Odbywała się tam właśnie msza za „skruszonych” - ciągnęła Klarysa. - To oni najbardziej potrzebują moralnego wsparcia. Siedziała przy mnie dziesięcioletnia dziewczynka. Przechodzący do-

Kto z państwa popełnił ludobójstwo? 51

minikanin ostro ją ofuknął, że do modlitwy nie złożyła rąk. Dziewczynka odrzekła, że bardzo by chciała, lecz lewa ręka wciąż jej nie odrosła.

- Co jeszcze robiłaś?

- Rozmawiałam z ludźmi. Mam wrażenie, że oni poznają, iż nie jestem stąd. Nie przeszliśmy przez te same wydarzenia, więc inaczej trzymam głowę i mam inny chód. A może po prostu zdradza mnie ubranie? Dam ci przykład. Kupowałam owoce. Właściciel sklepu wciąż mi się przyglądał, grzecznie doradzał, żebym wybierała dojrzałe orzechy, uprzedził, że anansy w środku są przegniłe. A ja widziałam go w poprzedniej roli... Pytałam siebie, jak prowadził śledztwa? Bił pięścią, kolbą karabinu? Kazał prowadzić więźniów na skraj rowu? Chłopcy na rowerach otoczyli mnie wesołą zgrają. Czy pamiętają, jak palili chaty pełne żywych ludzi? Myślę, że im to wypadło z pamięci.

- Więc i ty zapomnij. Teraz jesteś Francuzką. I mieszkasz w Grenoble.

W wazonie stały świeżo ścięte kwiaty. Klarysa zerwała różowy płatek i położyła go sobie na wargach, tak jakby chciała je sobie zakleić.

- Jutro komisja jedzie do Nayahu - powiedział jej Pierre przy kolacji. - Znasz to miejsce?

- Nigdy tam nie byłam.

- Będziemy asystować przy gakaca.

Od dnia przyjazdu do Lobo Klarysa chodziła swoimi drogami. Nie interesowała ją praca ko-

52

Antylopa szuka myśliwego

misji. Przepadała na całe dnie, błądziła po przedmieściach, spotykała się z nieznanymi osobami. Pierre zostawił jej całkowitą swobodę, prosił tylko, aby nie wdawała się w dyskusje, z których nic dobrego nie mogłoby wyniknąć.

- To zdumiewające, jacy tu wszyscy są ogłędni i dyplomatyczni - mówił. - Od nikogo nie można wyciągnąć dwóch słów. Dokonały się rzeczy straszne, a oni przyjaźnie

gwarzą o pogodzie. Wspomnieć o wydarzeniach sprzed roku, od razu uciekają od tego tematu.

- Tacy jesteśmy - zgodziła się Klarysa. - Nie lubimy nikogo zapędzać w kozi róg... Ani przy-gważdzać do muru pytaniami.

Zauważył, że od przyjazdu zaszła w niej głęboka zmiana. Stała się chłodna i milcząca. W Grenoble zbliżała się do niego pierwsza, błędziły po nim jej długie palce. Odkąd przybyli do Lobo, chroniła się trwoźnie, odsuwała się na skraj łóżka. Gdy raz położył rękę na jej piersi, przebiegł po niej dreszcz, jakby poraził ją prąd. Potem leżała nieruchomo, zwinięta w kłębek. Dotknął jej oczu, miała mokrą twarz. Najpierw stłumiony, potem gwałtowny, wyrwał się jej z gardła ni kaszel, ni szloch. Fale spazmów rodziły się w brzuchu, jedna za drugą wracały w nierównych odstępach.

Chciał podać jej szklankę wody, ale nie śmiał drgnąć. Kiedy próbował ją uciszyć, nie słyszała go. To była jej osobna sprawa, od której on był oddzielony. Nie znał słów, które powinien powie-

Kto z państwa popełnił ludobójstwo? 53

dzieć, tylko czuł, że ona obawia się jego głosu. Musnął jej ramię i znowu poczuł niezamierzony, nienawistny wstrząs.

Leżał na plecach, obserwował wzory na firance. Powoli przesuwają się fioletowe światła. Pomyślał, że tak płaczą kobiety po utracie dziecka. Albo kiedy wiedzą, że powinny kochać, ale brzuch, wargi, nogi, ręce mówią im, że to niemożliwe.

W południe Klarysa powiedziała:

- Pamiętasz, jaka byłam szczęśliwa w Grenoble? To ty mnie tutaj przywiozłeś! I Pierre zaczął winić siebie, że w ich życiu jest za mało romantyzmu. Co kobiety lubią najbardziej? Kwiaty? Kolację przy świecach? Gorące wyznania? Zdecydował, że kupi jej czekoladki.

Już koło lunchu zapomniał o tym, co było w nocy. W Lobo jeszcze nie obeschła krew, Klarysa ma rozdygotane nerwy.

Przy wjeździe do Niyaha stało kilka wypalonych chat, inne wyglądały na opustoszałe. Przebyli betonowy mostek i znaleźli się pośrodku wsi. Minęli wydeptane pole, które służyło za boisko, skręcili w stronę wysokich drzew.

Na jednym z białych budynków widniał napis „Szkoła”, na innym „Kancelaria” i „Gabinet Dyrektora”. Między nimi, na rozległym trawniku, rozłożył się kolorowy tłum. Kobiety zasłoniły głowy chustkami, chwiało się kilka płóciennych parasoli.

54 Antylopa szuka myśliwego

Twarzą do zebranych za podłużnym stołem siedziało dziewięciu sędziów. Wśród nich było pięć kobiet. Przed każdym stała karafka z wodą, szklanka i pojedynczy kwiat w wąskim wazonie. Sędziowie byli mieszkańcami wioski. Po zdaniu egzaminu z procedur sądowych otrzymali koszulki w narodowych barwach.

Pomiędzy zebranim tłumem a stołem sędziowskim stał mężczyzna w bluzie wyrzuconej na spodnie. Pojawienie się komisji zatrzymało przebieg posiedzenia. Przewodniczący zwięźle powitał przybyłych i zachęcił podsądnego do zeznań.

- Ciężko zgrzeszyłem przeciwko sąsiadom - kajał się oskarżony. - Zabiłem dwie kobiety i dziecko... Chciałem jeszcze dogonić mężczyznę, ale mi uciekł.

- Co czuł oskarżony, gdy dopuszczał się tych zbrodni? - zapytała starsza sędzina.

Mężczyzna uderzył się w piersi.

- Nic. A nawet szczerze powiem, że dało mi to pewne zadowolenie. W tamtych czasach myślałem, że Wabu to źli ludzie. Teraz wiem, że to nieprawda.

Tłum zareagował szemraniem, sypnęły się wyzwiska. Sędzia uderzył młotkiem w stół.

- Teraz głos ma oskarżony! A reszta ma milczeć! Powinniśmy docenić, że jest szczerzy.

- To już właściwie wszystko - powiedział więzień. - To było rok temu. Jeżeli ktoś z pokrzywdzonych żyje, to chciałbym powiedzieć, że żałuję.

Kto z państwa popełnił ludobójstwo? 55

Z tłumu podniosła się młoda kobieta.

- Hej - zawołała - chcę być świadkiem! Nazywam się Helena!

- Niech świadek się zbliży - zaprosił ją jeden z sędziów.

Kobieta precyzyjnie się do pierwszego rzędu.

- Oskarżonego znam! Miał w sobie dużo trucizny. Zatrzymywał autobusy przed wjazdem na most. On i milicjanci. Kazali wysiadać i stać z dłońmi na karku. Mówili, że szukają Wabu, ale przy okazji kradli!

- Ta siostra łże! - zaprotestował podsądny. - Nie wiem, dlaczego pragnie mnie pogrążyć.

Kobieta nie ustępowała.

- Rodzina Wabu dała mu torbę wypchaną pieniędzmi... I jeszcze różne drobiazgi! I co za to kupiła? Dwa dni życia!

- Te ostatnie miesiące osłabiły mi pamięć - skarżył się mężczyzna. - Nie wiem, czy mam się wyprzeć, czy potwierdzić. Możecie mnie skazać, możecie uwolnić. Na niczym mi już nie zależy.

Przewodniczący kazał odprowadzić oskarżonego pod drzewo, gdzie czekali dwaj policjanci. Po drodze ktoś mu wcisnął do ręki pomarańczę. Więzień natychmiast rozdarł ją kciukami i z otwartych połówek chciwie wyjadł miąższ.

Sędziowie zbliżyli do siebie głowy i szeptem ustalali wyrok. Widać było, że panuje między nimi zgodność. Z tłumu dobiegł płacz nienakarmionego dziecka, w wiosce odezwał się klakson samochodu. Sędziowie wyprostowali się na swoich miejscach.

Przewodniczący rozłożył protokół i przeczytał:

56 Antylopa szuka myśliwego

- Dwadzieścia siedem lat! Następny!

Następna sprawa jednak się odwlokła. Dwie kobiety podeszły do przewodniczącego i wskazały na sędziego, który siedział z lewej strony stołu.

- On też był w milicji! - oskarżały go otwarcie. -1 też wymuszał od ludzi podarunki!

Monsieur Bidault witał ich już z daleka. Gościnnie zaproponował połączenie stolików. Siedział w towarzystwie młodego człowieka, który przedstawił się jako Jean-Sebastian. Miał na sobie granatową marynarkę, jasnoszare spodnie i koszulę. Stały przed nimi popołudniowe drinki.

Członkowie komisji nieustannie wracali do tematu gacaca. Patrzyli dziś na człowieka, który maczetą ćwiartował ofiary, słuchali, jak o tym beznamytnie opowiadał. Byli świadkami, jak wyraził skruchę. Argentynka twierdziła, że jest to powrót do prażródeł prawa, do jęgo greckich korzeni. Pokrzywdzeni wreszcie

odzyskali głos. Mr King był przeciwnego zdania, uważał, że ofiara jest najgorszym sędzią. Kieruje nią chęć odwetu lub ewangeliczna żądza odpuszczania. W obu wypadkach źle.

Belg i Jean-Sebastian pili koktajl w milczeniu. Chwilami tylko wymieniali spojrzenia. Temat był im dobrze znany, nudziło ich słuchanie obiegowych opinii.

- Jesteśmy światowym liderem w przebaczeniu - z dumą oświadczył młody człowiek.
- Kto to jest? - spytał Pierre, gdy Jean-Sebastian wreszcie się oddalił. - Uporczywie mi

Kto z państwa popełnił ludobójstwo? 57

się przyglądał. Czy on się czegoś ode mnie spodziewa?

- Jean-Sebastian? Służy w wojsku, ale nie pamiętam w jakiej randze. Może kapitan...

- powiedział Bidault i dodał z ironią: - Miejskowa arystokracja.

- W wolnych chwilach lubi przysłuchiwać się rozmowom?

- Ma ku temu powody - uśmiechnął się Belg. Wyglądził poły kremowej marynarki. - Czas na mnie. Muszę już iść. W przeciwnym razie spóźnię się do generała.

- Do tego, któremu zarzucają, że grał w pleć? Tę grę wynalezioną w Bośni?

Pierre wstał, przeszedł przez salon i ruszył na górę do pokoju. W hallu natknął się na Jean-Sebastiana. Wyglądało, jakby tamten umyślnie się zaczął. Razem weszli na schody i skręcili w hotelowy korytarz. Pierre pomyślał, że młody człowiek wynajął pokój na tym samym piętrze. Dopiero gdy otworzył drzwi, spostrzegł, że oficer stoi za jego plecami.

- Czy mogę wejść? - zapytał uprzejmie. Pierre zapalił lampę, uporządkował na stole papiery. Nie lubił być niegościnnie.

- Zanim wróci Klarysa, wypijemy drinka... Ale gość od razu przystąpił do rzeczy. Wyrzucił z siebie bez wstępów, z czym przyszedł.

- Chciałbym panu podziękować za uratowanie Klarysy - rzekł.

- Drobiazg. Jesteś jej kuzynem? Bratem?

58 Antylopa szuka myśliwego

- Narzeczonym... Klarysa należy mi się jako żona.

- Jako kto?

Tamten opuścił lód do szklanki, usiadł w fotelu, sięgnął po orzeszki.

- Żona - powtórzył. - Porozmawiajmy spokojnie. Jak dwaj gentlemani. Najpierw o wydatkach... za jej ubrania i bilety lotnicze. Uważam, że tak będzie fair.

- Chcesz zapłacić za nią jak za przechowanie bagażu? - Pierre zbliżył do skroni zimną szklankę. - Skąd znasz Klarysę? I od kiedy?

- Od dzieciństwa.

- A czy możesz mi powiedzieć, dlaczego nie ratowałeś jej sam?

- W tym czasie byłem z moim oddziałem w Kongu. Ścigaliśmy rebeliantów.

- I dogoniliście ich?

- Roztopili się w dżungli... Mają tam swoje kryjówki.

- I cała wyprawa na nic?! - krzyczał Pierre. - Rebelianci uciekli? A wy co?

Wróciliście z pustymi rękami?

- Nie wolno mi o tym mówić.

- Rozumiem... Tajemnica służbowa. Dużo masz jeszcze takich tajemnic?

Przybyły siedział nieruchomo. Regularne rysy, miła twarz, wszystko, co miał na

sobie, było bardzo modne. Jean-Sebastian nosił się z pewną elegancją, którą na pewno zauważały kobiety.

- Klarysa nieźle jeździ na nartach - rzekł cicho Pierre. - Opanowała najtrudniejsze trasy.

Kto z państwa popełnił ludobójstwo? 59

A jej dyplom zostanie na pewno uznany, jest to wyłącznie kwestią czasu.

- Ona wie, że tu jestem - odparł Jean-Sebastian. - Czeka na mnie w parku na ławce. Jeśli chcesz, możesz się z nią zobaczyć, nie będę stawiał przeszkód. - Poderwał się i podszedł do okna. - Może stąd ją widać? Nie. Widok zasłaniają drzewa. Od jej powrotu łamiemy sobie głowy i chodzimy oboje jak błędni. Nie wiemy, jak tę sprawę rozwiązać.

- Jaką sprawę?

- Już ci mówiłem... Przez wiele miesięcy utrzymywałeś ją, i to na bardzo wysokim poziomie.

Pierre przypomniał sobie, jak poprzedniego dnia siedzieli przy tym samym stole. Klarysa porządkowała perfumy i pudełka z pudrem, na stole stała bateria buteleczek. Szukała francuskiej szminki, która zniknęła w tajemniczy sposób. Teraz spostrzegł, że złota oprawka potoczyła się pod ścianę i leży za nogą bocznego stolika. Przestał słuchać tamtego, choć natrętnie dobiegał go refren, że z pensji będzie im trudno się wypłacić, ale jeżeli rozłożyć należność na raty...

- Zajrzyj do szafy... - dotarł do niego głos przybysza.

Pierre otworzył szerzej na wpół uchylone drzwi. Zamiast kolorowych sukni Klarysy zobaczył rząd hotelowych wieszaków. Wyciągnął górne szuflady w komodzie i zamiast kobiecej bielizny znalazł na dnie jedynie własne pogniecione krawaty.

60 Antylopa szuka myśliwego

- Tam pod stołem leży szminka Klarysy - wskazał na błyszczący przedmiot. - Też możecie ją sobie zabrać.

Jean-Sebastian długo przesuwiał palcami po podłodze, usilnie szukając zapomnianej własności. Potem zdjął zakrętkę i zrobił sobie kreskę na rękę.

- Tak - orzekł. - To jej kolor.

Pierre podszedł do baru, porządkował szklanki.

- Odnalazłeś żonę - rzekł. - To nie zdarza się każdego dnia. Teraz możesz już iść...

Następnym razem, gdy cię pošlę do Konga, postaraj się dogonić rebeliantów!

Dzień później powiadomił biuro, że już nie chce pracować w komisji. Powód?

Sprawy osobiste. Na tarasie wypił kawę z monsieur Bidaul-tem. Zgodzili się, że życie wraca do normy. Spędził w hotelu jeszcze dwa dni i na zawsze pożegnał się z Lobo.

■

Ojciec Izydor

Nieskończony dystans dzieli
dobro od konieczności

Simone Weil

Czerwiec, rok 1963. Ulicami Pretorii wiał zimowy wiatr.

Na środku okrągłego skweru, na wysokim cokole, starszy pan w cylindrze dumał nad przyszłością narodu. Poniżej, na każdym z czterech narożników, siedział farmer ze

strzelbą.

Południowe słońce ogrzewało skwer, z pobliskich ulic ściągali czarni robotnicy i sprzątacze, niańki z białymi dziećmi, pakowacze i gońcy. Przynosili ze sobą frytki w przetłuszczonym papierze, dzielili się kawałkami kurczaka. Trawnik wokół pomnika prezydenta wypełniała biesiadująca gromada. Kto nie jadł, wyciągnął się i spał. Od strony południowej zebrał się nieco inny tłum. Stali tam ludzie szarzy i poważni, zasmucone kobiety. Zagraniczni dziennikarze nagabywali kilku zmiętych białych, ale ci bezradnie rozkładali ręce. Wymieniano ukradkowe pozdrowienia, przelotne uśmiechy. Aby nie blokować ruchu, ludzie stali na chodniku lub rozlokowali

62

Antylopa szuka myśliwego

się na schodach Sądu Najwyższego. Z bocznej ulicy wyszła kobieta z dziecięcym wózkiem. Widząc zgromadzonych, pośpieszyła w ich stronę. Odkryła fartuch wózka i zaczęła sprzedawać pap*. Obficie krasila porcje mięsnym sosem, do plastikowych kubeczków nalewała herbatę z butelki. Nie ścierpiało tego dwóch policjantów i stanowczo zabronili kobiecie handlu.

Sala A12 przypominała podziemie. Światło dwóch żyrandoli tłumili obicia ścian, boczne kinkiety oświetlały twarze zebranych. Pod portretem prezydenta siedział sędzia John Maray. W świecie prawniczym wiadomo było, że wydaje sprawiedliwe wyroki. Sprawiedliwe - to znaczy zgodne z obowiązującym prawem. A prawo ostatnio często się zmieniało. Ale to już nie było sprawą sędziego Maraya, on nie sądził praw, on je aplikował.

W otoczeniu policjantów na dębowej desce siedziało trzech oskarżonych. Nie słuchali wstępnych ustaleń. Pucółowaty Dube patrzył w sufit, krótkowzroczny Khumalo wypatrywał znajomych na sali, student Vincent sporządzał obfite notatki. Skinął głową, gdy sędzia Maray pouczył ich, że na pytanie, czy przyznają się do winy, mają odpowiedzieć krótko: tak lub nie.

- Tak - chętnie zgodził się Dube.

* Pap - tradycyjna potrawa południowoafrykańska, rodzaj gęstej kaszy, najczęściej z kukurydzy lub manioku; podobna do włoskiej polenty (przyp. red.).

Ojciec Izydor

63

- Wyzwolenie narodowe i walka klasowa!-podniósł się Khumalo. - Oba te zmagania są nierozzerwalne!

- Nie jesteśmy wrogami białych- oświadczył Vincent. - Wśród nich są także proletariusze!

W chwilę później wstał adwokat Gowan. Był niskiego wzrostu, ciężką głowę osadzoną miał na mocnym karku. Przyjechał z Anglii, nosił tytuł doradcy królowej. Ten proces wiele znaczył w jego karierze. Potwierdzał, że serce ma po właściwej stronie, w prasie pojawi się jego nazwisko. Odrzucił toż, wskazał na oskarżonych.

- I oto Wysoki Sąd mógł się sam przekonać. Podsądni to nie wywrotowcy!

Działalność rewolucyjna jest im całkowicie obca, ale żądają dla siebie równych praw!

Zarysowała się linia obrony. Pojęli to dziennikarze i obserwatorzy. Młodzi ludzie walczą o swe prawa, nie ma w tym podżegania do gwałtu.

- Chcą być wolni, tak jak głosi Ewangelia -mocnym głosem dowodził obrońca. - Czy mam zacytować stosowne ustępy? Podać, o który wers chodzi i z jakiej zaczerpnięty

jest Księgi? Pan prokurator, jako człowiek religijny, na pewno zna te fragmenty na pamięć!

Prokurator nie słuchał obrońcy, spokojnie patrzył w papiery. „Niech nas łaje i upokarza - myślał. - Niech nas chłoscze, ile tylko zechce”. Po naszej stronie są przepisy prawa, nie darmo ułożyli je nasi ojcowie.

- Uczony obrońca w swojej naiwności nie chce zobaczyć oczywistych faktów - prokurator zaci-

64 Antylopa szuka myśliwego

nał się ze zdenerwowania. - Oskarżeni służą obcej sprawie. Omamiła ich ideologia, której stolica leży na północy, w mieście przez większość roku skutym lodem. Nasz kraj przyjął uciekających Węgrów. A gdzie my uciekniemy? W morze?

Nastąpiła wymiana opinii, zwalczały się przeciwne poglądy, ale nie był to czysto akademicki spór. W grę wchodziły złowieszcze paragrafy. Aby przeciąć dyskusję i ustalić fakty, prokurator złożył polubowną propozycję.

- Bolszewicy, nie bolszewicy? Proponuję powołać niezależnego eksperta. Najlepiej z neutralnego kraju.

I obrońca na tę propozycję przystał.

Ojciec Izydor porządkował papiery. W rogu biurka leżały prace studentów. Mieli czas do końca semestru i tylko jeden spóźnił się o dzień. Patrzył na te wypracowania ze szczególną niechęcią. Sprawy, które od ludzi z jego pokolenia wymagały walki i poświęceń, studenci streszczali kilkoma zdaniami. Na domiar złego ich oceny były trafne. Czasem im mówił, że to nie tak było... To nie tak było, jak myślicie, dzieci, rozegrał się znacznie donioślejszy dramat. Żyją jego uczestnicy i chodzą po świecie, do dziś obnoszą obolałą pamięć... Studenci patrzyli jasnymi oczami, pytali, gdzie zrobili błąd? „Uczysz nas logiki, więc czego żadasz?”. Po namyśle wystawiał im dobre oceny i tylko radził pogłębić lektury.

Ojciec wykładał teologię, na ścianie wisiała j ego nominacja na dziekana. We Fryburgu, w mie-

Ojciec Izydor

65

ście, gdzie mówiono po francusku i niemiecku, znalazł pracę i dom. Ceniono go jako logika, ale dopiero teologiczne prace przyniosły mu zasłużony rozgłos. Czasem pytano, czy naukę buduje na wierze, czy wiarę na teologii.

Często myślał o wydarzeniach wojennych, marzył, że ktoś napisze wierny i żywy dokument. Wertował książki, czytał pamiętniki świadków. Opisy miejsc były przeważnie wierne, ale były to utwory gawędziarzy, autorzy bajali lub zliczali fakty. Małe sprawy wypierały wielkie, rosła bezlitosna zasłona niepamięci. Ojciec Izydor szukał pociechy w filozofii, nauce ścisłej i pięknej, i poddanej wymogom logiki. Jednocześnie studiował popularne idee. Przerażali go ideolodzy cisi, sprawni, którzy segregowali ludzi ruchem pióra. Analizował wywody mętnych filozofów i słuchał wrzasków nagranych przemówień.

Miał ten fatalny zwyczaj czytania kilku prac na raz. Jedną studiował, szukał odnośników w drugiej. Wybierał cytaty z różnych dzieł, gorączkowo przerzucał stronicę. Na biurku piętrzyły się książki odwrócone grzbietami do góry, wypadały z nich haftowane zakładki. Rankiem przychodziła Grethen. Młoda i praktyczna, z

trzaskiem zamykała rozrzucone tomy, a zebrane papiery układała pod przyciskiem z brązu.

Na specjalnym miejscu leżała księga oprawiona w wytłaczaną skórę. Zawierała zbiór dokumentów. Były tam poskładane płachty okupacyjnych gazet, w przezroczystych kopertach listy i notat-

66 Antylopa szuka myśliwego

ki. Kilka fotografii mężczyzn w oficerskich płaszczach, długie kolumny nazwisk spisanych na starej maszynie.

Ojciec Izydor otwierał tę księgę, zmęczonym wzrokiem odczytywał litery. Porucznik M. - ambitny i zdolny, daleki powinowaty. Rotmistrz R. - dręczyły go długi karciane, póki mógł, ukrywał je starannie. Major W. - alkoholowe problemy, w obecności generała spadł z konia.

Ojciec odwracał kartki, odwiedzał starych znajomych. Pułkownik O. - gruby i napastliwy, do niedostępnych salonów wprowadzała go piękna żona. I wreszcie Alina, siostra Józefa N. Była zaręczona z jakimś inżynierem, to przez nią Izydor wciąż narażał się na drwiny. Lecz serce miała dobre i któregoś ranka ulitowała się nad młodym porucznikiem. Potem wybuchła wojna i dwa lata później ktoś ją rozpoznał... Za kołem polarnym, tępą łopatą kopała melioracyjne rowy.

Fotografia Edwarda M. Przylizane włosy, dopasowana sportowa marynarka. Edward ubrany był w spodnie zwane pumpami i kraciaste skarpety do kolan. Był z niego fatalny gospodarz, ale doskonały astronom amator. Który to był rok? Trzydziesty ósmy. I jeszcze dwaj wujowie, trzech dalsi kuzyni. Wreszcie siostra kapitana W. Po przeżyciach z nią Izydor napisał pracę naukową. Nosila tytuł: Okrucieństwo kobiet. Na końcu księgi zdjęcie ekipy likwidacyjnej. Fioletowym atramentem ktoś zapisał miejscowość i datę. Na tle brzoźowego zagajnika stoją mężczyźni w bluzach spiętych paskiem. Daszki

Ojciec Izydor 67

okrągłych czapek mierzą w niebo - wesoła, beztroska gromada. Podobno później, gdy ucichły strzały, kilku z nich popełniło samobójstwo.

Ojciec Izydor z obawą pomyślał o nadciągającej nocy. Pusty, wysoki pokój, wąskie łóżko. Gdy się poruszy, spadną na podłogę książki. Daremnie w nich szukać lekarstwa. Ta wypadnie spod nóg, tamta spod poduszki. Na stoliku szklanka wody, białe pastylki i jarzące się cyfry zegara.

Jasny, wiosenny dzień, otwarte okno. Wbiegła Grethen. Była w opiętej sukni i na wysokich obcasach.

- Herr Professor! - zawołała od progu. - Ważny telefon... Dzwonili z ambasady południowoafrykańskiej !

Izydor z przyjemnością patrzył na dziewczynę. Podobał mu się jej pośpiech i sposób, w jaki do niego mówiła. Dłonie ułożyły mu się w przyjazny kształt, zacisnął je na poręczy starego fotela.

- Czego oni chcą?

- Pierwszy sekretarz prosi o audiencję. Proponuje nadchodzącą środę po południu. Dyplomata ubrany był w czarny garnitur, włosy rozdzielił równym przedziałkiem.

Nazywał się Andre van Wyk. Farmerski syn, dobra rasa, oszacował go ojciec Izydor. Dużo czasu spędza na otwartych przestrzeniach, dlatego ma zaczerwienione policzki.

Bez wstępów sekretarz oznajmił, że w Pretorii odbywa się proces trzech czarnych.

68 Antylopa szuka myśliwego

- Nie nazywamy ich już krajowcami - wyjaśnił - ale Bantu. To w ich języku oznacza „ludzie”.

- O co są oskarżeni ci... Bantu?

- O działalność rewolucyjną. O przynależność do nielegalnej partii.

Ojciec zachęcił gościa do dalszych wyjaśnień.

- Znalezione przy nich manifesty i portrety Lenina. Odezwy wzywające do strajków. Obrona twierdzi, że na zebraniach czytali Szekspira, pogłębiali znajomość użytecznych rzemiosł. Może i tak, Herr Professor... Musimy przyznać, że my się na tym komunizmie nie znamy.

- I dlatego przyszliście do mnie?

- Pragniemy, aby Herr Professor zbadał te broszury, zapoznał się z aktami sprawy.

Żeby przeszedł pan ich plany akcji, tajne protokoły z zebrań... Z pańskim doświadczeniem łatwo pan rozpozna, co to za rodzaj Bantu - czarni czy czerwoni.

Izydor patrzył na gościa z widocznym zdziwieniem. Szczęśliwi ludzie, osadzili się na końcu świata, ale i tam dopadły ich niepokoje. Przybyły wyczuł jego zaskoczenie, pośpieszył z wyjaśnieniami.

- Od pańskiej ekspertyzy, Herr Professor, dużo będzie zależało. Jeżeli oskarżeni chcieli tylko poprawić swój los, sąd może ich nawet uniewinnić. Natomiast jeśli pracowali w zorganizowanej grupie na rachunek obcego mocarstwa...

- Jaka byłaby za to kara?

- Dwadzieścia lat.

Ojciec Izydor

69

Wbiegła Grethen. Szukała zapomnianego listu. Przebiegła palcami po foliach, poprawiła klosz lampy. Ciekawił ją ten przybysz w staromodnym garniturze, ugrzeczniony, i dwukrotnie od jej narzeczonych wyższy.

- Ale dlaczego przyszliście z tym do mnie? Kto was przysłał?

- Czytaliśmy prace Herr Professora...

- Te o logice?

- Te o ideologiach. O potrzebie utworzenia wojska i o teorii państwowości...

Pamiętam pańskie słowa: „Nie wolno się łudzić, już są listy, gdzie przy naszym nazwisku ktoś postawił znak”.

- Teorie często bywają szkodliwe - zgodził się ojciec Izydor.

- Wiemy, że pańska opinia będzie całkowicie niezależna. Wierzymy, że Herr Professor pod żadnymi naciskami się nie ugnie.

- Wiecie o mnie więcej, niż ja wiem o was - gospodarz uśmiechnął się przyjaźnie.

- Doskonale Herr Professor to ujął. Auf Wie-dersehen.

Ojciec odprowadził gościa na dziedziniec.

- A wie pan, panie van Wyk, co jest moją największą radością?

- Nie wiem, Herr Professor.

- Pilotowanie samolotu nad Alpami.

Dwa dni później przyszło zawiadomienie, że odlot z Zurychu nastąpi o dziewiątej. Rezerwacja hotelu potwierdzona. Na lotnisku będzie oczekiwała delegacja.

W hallu hotelowym pachniało pastą do podłogi. Ojciec Izydor przemierzył rudy chodnik, otarł się o olejno malowane ściany. W pokoju kotary nie dopuszczały słońca, na środku ogromnej łazienki stała wyszczerbiona wanna.

Zatrzymywali się tu głównie urzędnicy z prowincji, zamieszkał tylko jeden cudzoziemiec, Szkot. W czasie lunchu pił whisky, nawiązywał rozmowę z kelnerem, zadawał sąsiadom kłopotliwe pytania.

Po krótkim odpoczynku ojciec Izydor wyszedł na ulicę. Minał kiosk z napojami i sklep z butami dla czarnych. Przed wystawą z damską bielizną ustawił się tłum, przechodnie wlepiali oczy w nagie manekiny. Od następnej przecznicy zaczynały się budynki rządowe. Wzniesione z brązowego kamienia, zabezpieczone kratami, z umundurowanymi strażnikami stojącymi w drzwiach. Nad chodnikami królowały drzewa jacarandy, tyle że o tej porze były bezlistne i suche.

Przed gmachem sądu stała grupa ludzi. Jednych Izydor wymijał, inni schodzili mu z drogi. Raził ich chłodem i obcością. Odprowadzały go ukradkowe spojrzenia.

Woźny wskazał mu drogę, doprowadził do właściwych drzwi. We wnętrzu sali brakowało powietrza. Publiczność przyniosła ze sobą zapach spalonego pap, pod sufitem unosiła się para ze spoconych marynarek.

Sprawa toczyła się wolno, ustalano kwestie proceduralne. Oskarżeni podnosili się ospale i niechętnie odpowiadali na pytania. obrońca

Ojciec Izydor

71

kwestionował zasadność aktu oskarżenia i żądał uwolnienia podsądnych.

- Czytałem protokół z wczorajszego posiedzenia i przekonałem się, jakie to niezbędne i ważne - zwrócił się do sędziego. - Znalazły się w nim zeznania świadka Browna, które miały być w całości wykreślone!

Sędzia przerzucał kartki, nie mógł znaleźć właściwej strony.

- Istotnie - orzekł. - Popołniono błąd. Zareagował oskarżyciel.

- Nie należy wykreślać wszystkich zeznań tego świadka. Niektóre są wiarygodne.

- O czym pan mówi? - spytał sędzia. - O której części jego zeznań?

- O tej, gdzie świadek Brown mówił o rozkładzie dnia... Tego dnia, w którym odbył się ich zjazd.

Obrońca i prokurator zbliżyli się do sędziego, każdy przedkładał swoje racje. Jeden z oskarżonych zamknął oczy, drugi ukrył twarz w szerokich dłoniach. Tylko Vincent słuchał dyskusji uważnie. Zakładał okulary do robienia notatek, a do obserwacji sali je zdejmował.

Urzędnik sądu powitał ojca Izydora. Zaprosił go do gabinetu przylegającego do pokoi sędziowskich. Na podłużnym stole stały kartonowe pudełka pełne dokumentów. Jedne w teczkach, inne związane taśmami.

- Dowody rzeczowe, zabezpieczone w czasie prowadzonych rewizji - wyjaśnił. - A to zawartość ukrytej walizki.

72

Otworzył pudło. Wyjął z niego broszury, zeszyty, manifesty. Wskazał na książki o zwodniczych okładkach - na wierzchu gole niemowlęta, a w środku materiały szkoleniowe.

- Ma pan czas do piątej. I proszę niczego nie wynosić z sali.

Przekonujące były te dowody... Dzieła Engelsa, Marksa. Dwadzieścia ponumerowanych portretów Lenina. Stronice pokryte pismem maszynowym, u góry napis: Droga naprzód. Na marginesach niechlujne poprawki, znaki zapytania, przekreślenia. Najwyraźniej dokument ten uzgadniano w szerszym gronie, był wynikiem zbiorowego wysiłku.

Ojciec Izydor zasiadł do czytania. Autorzy obficie cytowali klasyków, Związek Radziecki uznawali za niedościgły wzór. Panujące teorie podziałów rasowych tłumaczyli chęcią zysku, potrzebni są bowiem robotnicy do pracy w kopalni.

Wystarczy przekształcić system posiadania, a rasizm wyparuje bez reszty. Autorzy Drogi naprzód pisali: „Front walki klasowej przebiega przez cały świat, od Przylądka Dobrej Nadziei po Kamczatkę. Część krajów już jest wyzwolona i nazywamy je obozem postępu, reszta świata tkwi jeszcze w okowach wyzysku”.

Izydor z zainteresowaniem czytał protokoły z zebrań. Ktoś pytał: „Co się stanie, jeżeli wypędzimy farmerów?”. „Nie martwcie się, towarzyszu... - wyjaśnił prelegent. - Bratnie kraje zaopatrzą nas w żywność”.

Ojciec Izydor

73

Ojciec otworzył teczki z pieczęciami: „Tajne”. Były to raporty policyjne, częściowo ręcznie pisane, ale w większości wystukane na maszynie.

Dossier oskarżonego Dube leżało na wierzchu. Na policyjnych fotografiach wypadł wyjątkowo źle - oczy wybałuszone, odstające uszy, kępki włosów na cofniętej brodzie. „Przedmiot dochodzenia jest tępy i ograniczony - pisał nieznany policjant. - Gdy go porządnie nastraszyć, do wszystkiego się przyzna. Trzeba go tylko pouczyć, do czego ma się przyznać i sprawdzić, czy dobrze to sobie wbił w głowę”.

„Khumalo. Ten Bantu jest milczący i zacięty. Wywrotowa działalność przewija się u nich w rodzinie, brat skazany, siostra uciekła do Anglii, ojciec pozostaje pod stałą obserwacją, ciągnięty za język, zamyka się w sobie. W pewnych okolicznościach, na przykład po stójce, można z Khumalo nawiązać rozmowę. Wtedy powtarza wyuczone hasła, których znaczenia pewnie nie rozumie”.

„Z nich trzech Vincent jest najbardziej niebezpieczny - pisał dalej policjant. - Ukończył szkołę misyjną w Wenda, liznął nieco teologii na uniwersytecie Port Hare. Ma świetnie rozwinięty zmysł argumentacji, przesłuchującym trudno z nim wytrzymać. Próbował zwerbować sierżanta Lulile. Najpierw powoływał się na związki krwi, potem straszył podpaleniem domu. Przy każdej okazji prawił mu kazania, od których Lulile coraz bardziej głupiał”.

W przypisach pułkownik V pogratulował prowadzącym śledztwo. „Aczkolwiek oskarżeni wie-

74

Antylopa szuka myśliwego

lu szkód nie uczynili, to jednak trzeba przeniknąć ich zamysły. Działając w porę, mądrze i stanowczo, uchronimy nasz kraj przed zniszczeniem” - kończył swój wywód.

Na dnie kartonowego pudełka leżała paczka listów. Ojciec Izydor tylko przebiegł je wzrokiem, były to listy prywatne. Ostatni, napisany na waniliowym papierze, pochodził od jakiejś Lucy.

Lucy robiła wyrzuty Khumalo, twierdziła, że wplątał się w niebezpieczne gry. Żądała, aby powrócił do domu. Pod koniec listu godziła się jednak z losem, rozgrzeszała Khumalo za raptowne zniknięcie. Donosiła, że we wsi o nim pamiętają, i że z ludzką pomocą jakoś sama przetrwa.

Ekspert gładził kartki z pieczęciami cenzury. Przypomniały mu się listy z Syberii, grypsy z piwnic na Mokotowskiej. Nie wolno mu popełnić grzechu zaniechania, nie powinien kierować się litością. Zateśknił za swoim gabinetem w Szwajcarii. We Fryburgu wszystko było proste. Dzięki Grethen przedmioty leżały na właściwych miejscach... I jeśli nie liczyć studentów, życie było znośne.

Zostały jeszcze dwa kartony. Otwarte nożyce leżały na stole, ale ojciec Izydor nie przeciął sznurków i nie zajrzał do pudełek.

Następnego dnia prokurator zaprosił go do pierwszego rzędu. Siedział obok wyższych urzędników. Przepytywano oskarżonych, pojawiali się i znikali świadkowie. Tylko student dawał wy-

Ojciec Izydor

75

czerpujące odpowiedzi, pozostali ledwo coś bąkali. obrońca tłumaczył to tym, że są słabo rozgarnięci, co z kolei, jak twierdził, było wynikiem dyskryminujących praw.

- Jak to? - zaprotestował prokurator. - Jeżeli czegoś mamy dziś w nadmiarze, to właśnie uniwersytetów dla Bantu!

- Łagodny wyrok byłby w proporcji do udowodnionych win - zgodził się obrońca. - Zwracam uwagę na niskie nasilenie złej woli.

- Żądam dwudziestu lat - nie ustępował prokurator.

Wtedy sędzia zwrócił się do ojca Izydora.

- Czy nasz uczony doradca gotowy jest do przedstawienia ekspertyzy?

-Tak.

-A zatem dalszy ciąg rozprawy zacznie się jutro o dziewiątej.

Wracając do hotelu, poczuł chłód. Ludzie naprzeciw szli w rozpiętych koszulach, ale Izydorem zatrzęsł niespodziewany dreszcz.

Pchnął drzwi do apteki. Powitała go młoda dziewczyna uczesana w wymyślny kok. Zaproponowała krzesło. Farmaceuta szybko rozpoznał przeziębienie i ostrzegł, że mogą to być początki czegoś poważnego. Na tacy podano choremu dwie pastylki i szklankę schłodzonej wody.

- Proszę to wziąć natychmiast - nalegała załoga apteki. -1 podwoić dawkę przed snem.

Ojciec Izydor zgodził się z diagnozą. Zapewnił, że usłucha otrzymanych rad. I jak zawsze,

76

Antylopa szuka myśliwego

gdy spotkał się z bezinteresowną pomocą, poczuł na szyi delikatne dotknięcie.

Przy wejściu do hotelu stał sekretarz ambasady van Wyk. Ujął ojca za łokieć i usiedli w wygodnych fotelach.

- Oddycham rodzinnym powietrzem Trans-vaalu - oznajmił. - Tu nie wiszą nad głową chmury i nie zbiera się ciągle na deszcz.

- Przyjechał pan zobaczyć rodzinę?

- Krótki wypad na rodzinną farmę, najwyżej na kilka dni. Hodujemy owce i rasowe konie... Wychowałem się tutaj, mówię językami Bantu. W afrikaans* mamy nazwę

dla każdego owada, umiemy nazwać każdą roślinę... To jest nasz kraj.

-A woda... Skąd czerpicie wodę? - zainteresował się ojciec Izydor. - Czytałem, że o wodę nie jest tutaj łatwo.

- Przez farmę płynie strumień, oprócz tego odkryliśmy źródło... Budynki spaliły nam watahy lorda Kitchenera. Moją babkę od zamknięcia w obozie uratowali okoliczni czarni.

- Czytałem o wojnie burskiej. Moi rodacy byli po waszej stronie... Ale dużo wam to nie pomogło.

Ojcu Izydorowi zmartwiały stopy, nie mógł poruszać palcami. Żadne przykrycie nie pomoże, jedynym ratunkiem jest wanna. I zanie-

* Afrikaans - język Burów, od 1925 r. urzędowy (obok ang.) język RPA, powstały na bazie dialektów holenderskich (przyp. red.).

Ojciec Izydor

77

pokoił się, czy rury w tym kraju przepuszczają wrzątek?

- Pański naród wielokrotnie zagrożony był zgubą - rzekł do sekretarza. - Podobnie jak niektóre plemiona w starożytności... Bywało, ludzie ginęli i przepadał ich język... Zostawały wykopaliska.

Dla van Wyka nie była to myśl nowa. Odpowiedź miał przygotowaną.

- Tak się z nami nie stanie. To nasza ziemia. Powzięliśmy nieodwracalne decyzje.

Ojciec stawiał pytania z zaciekłością badacza naukowca.

-1 nadal wierzycie w Opatrzność?

Przez hall przeciągała zagraniczna wycieczka. Rozbrzmiewał język angielski i niemiecki. Van Wyk pochylił się w stronę rozmówcy.

- Czy chciałby pan zwiedzić Park Krugera?

- Nie wiem, czy znajdę na to czas.

- A Voortrekker Monument?

- Monument?

- W płaskorzeźbach przedstawiona jest historia kraju - wyjaśnił van Wyk. -

Najważniejsze fakty wykute w kamieniu... Najpierw wylądowanie Van Reebecka w Cape Town, potem walki z Zulusami, walki z Xhosa... Chcielibyśmy, Herr Professor, coś dla pana zrobić.

Ojciec Izydor zaniósł się kaszlem. Doszedł do tego ból gardła i mimo ponawianych prób długo nie mógł wymówić słowa.

- To już raczej niech będzie Monument - rzekł wreszcie. — O ile wcześniej nie polegę w tych naszych walkach.

78

Antylopa szuka myśliwego

Ojciec Izydor

79

Poprosił, aby kolację podano mu do pokoju. Jutro wyda wyrok na trzech oskarżonych. Zażył zakupione pastylki. Pod ich wpływem, mimo rażącego światła, zapadł w przerywany sen.

Po lewej stronie siedziały rodziny podsądnych, po przeciwnej biali dziennikarze.

Osobną grupę stanowili studenci i anglikańscy duchowni w cywilnych ubraniach.

Przed gmachem sądu, jak w poprzednich dniach, stał wyczekujący tłum.

Sędzia w kilku słowach opisał kwalifikacje eksperta, wyliczył jego stopnie naukowe.

Zakończył:

- Ekspert jest badaczem ideologii wyzwolenia, studiował ruchy rewolucyjne. Pochodzi z kraju, o którym wiemy, że jest ciężko doświadczony przez historię. Obrońca siedział ponury, miał jak najgorsze przeczucia. Znał publikacje eksperta i przestał się łudzić. Za to prokurator rozparł się wygodnie, ścisnął dłonie znajomych i czekał na triumf:

- Ekspertyzy grafologiczne, zeznania samych oskarżonych - wyliczał. - Czyż nie jest jasne, że chcieli obalić rząd?

- Podsądni nie zawiązali jacejki*, ale kółko samokształceniowe! - oponował obrońca.

- I dlatego oblepili ściany portretami Lenina? Żądam dla nich dwudziestu lat.

Zaproszony przed oblicze sędziego, ojciec Izydor postąpił kilka kroków. Wskazano mu wąski

* Jacejka (ros.) - dosł.: komórka, pot.: rewolucyjna organizacja polityczna (przyp. red.).

pulpit, rozłożył na nim notatki i papiery. Potem odpowiedział na wstępne pytania, podał miejsce urodzenia i nazwisko, a także wymienił tytuły najważniejszych prac naukowych. Potwierdził, że wykłada teologię, zaś ruchy rewolucyjne studiuje ze szczególną wnikliwością. Nie opisał swoich dróg wojennych, nie wspomniał o losie oddalonej ojczyzny. Zapewnił, że jego analiza będzie oparta na faktach.

- Czy jest pan gotowy wydać orzeczenie? - zapytał sędzia. - Czy będzie ono zgodne z pana najlepszą wiedzą i sumieniem?

Ojciec Izydor poczuł ostry ból w gardle. Przeraził się, że nie zdoła wykrztusić odpowiedzi.

- Przystudiowałem materiały dowodowe - odrzekł z trudem. - Znam akta sprawy.

Uważnie słuchałem zeznań oskarżonych. Na zadane pytanie odpowiadam twierdząco. Słychać było kroki po kamiennej podłodze, stęk-nęła drewniana ławka. Kilka stłumionych szeptów zakończonych syknięciem.

- Jakie jest pana orzeczenie?

- Chcę oświadczyć, że zabroniona idea jest im całkowicie obca. Nie mają z nią nic wspólnego. Przeszli kursy, to prawda, czytali broszury... - Zawiesił głos i żeby wzmocnić wywołane wrażenie, dodał: - Do powzięcia odmiennej decyzji brakuje mi jednak podstaw.

Obrońca podniósł głowę, patrzył nieprzytomnie. Oskarżyciel zerwał się w proteście. Wśród czarnych wybuchł tumult, sędzia, jak sęp dziobem, uderzał ciężkim przedmiotem w stół.

80 Antylopa szuka myśliwego

- Zboczeniec! - krzyknął ktoś z obecnych na sali. - Na pewno śpi z czarną!

-Płatny szpieg...

Ekspert zbliżył się do sędziowskiego stołu. Złożył na nim arkusz pokryty odręcznym pismem.

- Uzasadnienie - wyjaśnił. - Proszę je włączyć do akt.

- To drwina! - wołał oskarżyciel. - Ta ekspertyza przeczy oczywistym faktom!

- Zdrajca! Czy profesorowi nie wstyd tak łąć w żywe oczy?

Na sali dominowały głosy oburzenia, ale dało się słyszeć też kilka westchnień ulgi.

Sędzia na próżno uciszał zebranych. Ruchem dłoni odprawił eksperta.

Ten już nie wrócił na swe miejsce, lecz ruszył w stronę drzwi. Wśród wrzawy i podniesionych rąk, wyprostowany, szedł długim korytarzem.

Na schodach dogonił go zdyszany obrońca.

- Dziękujemy... Nigdy nie zapomnimy... Nasza partia ma w stosunku do pana dług. Obrońca pałał szczerym entuzjazmem, czekał na znak porozumienia.

- Zejdźcie mi z drogi... - odsunął go ojciec Izydor. I widząc, że tamten nie przestaje dziękować, znowu musiał przemóc ból gardła. - Khumalo, Dube, Vincent mają na rękach farbę drukarską... Ale nie krew.

Nie czekając na odpowiedź obrońcy, wyszedł na otwartą przestrzeń. Na placu falował niespokojny tłum, przemieszczały się grupki ludzi. Dobra nowina za chwilę do nich dotrze.

Ojciec Izydor

81

Skierował się w stronę hotelu. Zebrał kilka książek, wyjął drobiazgi z szuflady. Spojrzał przez okno. Dzień był słoneczny, ale wietrzny i wyjątkowo chłodny. Przez chwilę odpoczywał w fotelu, a potem sięgnął po telefon. Poprosił, aby mu ktoś pomógł znieść walizkę.

Antylopa szuka myśliwego

Artur szukał kobiety, która lubiłaby dom. Idąc ulicami, patrzył w obce okna, szczególnie kiedy wewnątrz paliło się światło. Za firankami, w głębi ciepłych mieszkań, siedziały przy stołach szczęśliwe rodziny. Artur często myślał, że brak mu takiej atmosfery.

Jego ojciec był oficerem, walczył w buszu. To był jedyny zawód, jaki znał. Pracował w Kongo, Angoli, Ugandzie. Zajmował się ochroną instalacji przemysłowych, tłumieniem plemiennych buntów. Uczył rekrutów omijania zasadzek, krycia się wśród wysokich traw. „Nie myślcie, że oni zawsze biją seriami w powietrze, może się zdarzyć, że ktoś was namierzy”. Uważał, że on i jego oddział pełnią stabilizującą rolę. „Kryjcie się za naszymi plecami - mówił oponentom. — Bez nas pochłonąłby was busz”.

Był jednak świadom nowych prądów w polityce, dużo czytał. Uznawał prawa czarnych do własnych rządów i chronił legalnie wybranych prezydentów. Powiedział kiedyś, że dobry ojciec powinien umieć usunąć się na czas. Najlepiej zanim syn dojdzie do lat piętnastu. Inaczej z bohatera zmieni się w tyrana, a syn to odkryje w czasie pierwszej sprzeczki.

Antylopa szuka myśliwego

83

Kiedy Artur miał lat czternaście i pół, jego ojciec wyjechał do Nigerii. Patrolował długie linie rur, którymi ropa spływała do portów. Zdarzało się, że okoliczni mieszkańcy czuli się skrzywdzeni i wiercili w rurach niewielkie otwory. Pod osłoną krzaków właściciele dziurek napełniali płynem pocięte blaszanki. Jeden galon, jedno piwo - taka była obiegowa cena. Rzadziej podstawiali litrowe butelki, gdyż ropa

ściekała im wtedy po palcach. Wieczorem niełatwo było taki otwór zatkać. Pod rurą rosła tłusta plama, przeglądały się w niej płomienie ogniska. Gdy ludzie posnęli, ciemne strużki wpływały do chat... I zderzały się z rozżarzoną popiołem.

Z jednej z takich wypraw ojciec Artura nie wrócił. Zatruta strzała, celny strzał, długo można by dochodzić powodów. Dwóch z jego towarzyszy leczyło rany cięte, trzech innych miało poparzone dłonie. Zanim upłynął rok, matka Artura zakochała się w sąsiedzie, który mieszkał w piętrowym domu i miał wybałuszone oczy. Artur o swym ojcu wojowniku snuł mroczną legendę, dotykał pamiątek, czyścił jego broń.

Lubił rysować, został architektem. Był to okres budowania z surowego betonu.

Projektował wille, które wyglądały jak blokhauzy, na ścianach odciskały się słoje z szalunkowych desek. Dla siebie sam chciał zaprojektować dom. Ann, przyjaciółka z lat dziecięcych, uznała to za doskonały pomysł.

W pracowni Francois & Pienaar Artur spędzał dni przed ekranem komputera.

Powieliał fasady budynków, z pamięci komputera przywoływał

84 Antylopa szuka myśliwego

Antylopa szuka myśliwego

gzymy, balkony i układał seriami wąskie okna. Na życzenie klientów podejmował się ambitnych rozwiązań. Na marmurową willę nałożył słomiany dach, między prowansalskie dachówki wtopił biały kapitański mostek. Pewnego razu zaprojektował budynek na palach, który nazwał Borneo. Innym razem na pudełko zapalek nasadził kaplicę. Zadowoleni klienci chwalili go, twierdzili, że Artur ma talent.

Lubił projektować bramy wjazdowe... u góry łuki triumfalne, na dole wartownia. Jeżeli osiedle nazywało się Toskania, stawiał cztery wysokie kolumny i łączył je rzymskim portykiem. W wypadku Willi Cezar, Quirynału lub Capri zwykle proponował sześć kolumn.

Cieszyło go, że znalazł pracę w biurze F & P. Między przyjaciółmi mógł wspomnieć Madagaskar, Turkmenię, Cypr. Co tam robili? Projektowali pałace prezydenckie i reprezentacyjne budynki. Wspominał o swoim udziale w projektach idących w miliardy, śmiałych i wizjonerskich. Było przyjęte, że im biedniejszy kraj, tym mniej należy się liczyć z kosztami.

Nie prowadził żadnych spraw, które byłyby związane z Nigerią, toteż zdziwił się, gdy na swoim stole ujrzał niebieską kopertę z krzywo przyklejonym nigeryjskim znaczkiem. Wiedział, że ten kraj słynie z zasobów ropy, i że przepadają tam miliony dolarów. Nigdy jednak nie postawił stopy w Lagos, nie był na wybrzeżu, skąd wypływają opasłe tankowce, nie znał wysp, gdzie czają się pirackie łodzie...

Na kopercie widniało jego nazwisko, uznał więc, że ma prawo ją otworzyć.

Wewnątrz znalazł wystukany na maszynie list, zakończony podpisem złożonym z misternych węzełków.

„Szanowny Panie Prezydencie - zwracał się do Artura nieznajomy korespondent. -

Jako sekretarz pana Augustyna Komo, z jego osobistego polecenia, mam zaszczyt skreślić do pana tych kilka unizonych słów". Formuły grzecznościowe ciągnęły się na pół strony, Artur przeskoczył je wzrokiem. „Od pewnego czasu prowadzimy dyskretne poszukiwania osoby cieszącej się ogólnym szacunkiem - donosił piszący. - Oprócz nieskazitelnych cech charakteru ważne jest, aby osoba ta miała

ugruntowaną pozycję w biznesie, unormowane życie rodzinne, dzieci w szkołach będą niewątpliwie atutem". I znowu Artur opuścił część wierszy podnoszących jego zalety moralne. „Nasz wybór padł na Pana, Panie Prezydencie - pisał autor listu. - Pan Komo wierzy, że spełnia Pan konieczne warunki i dlatego pozwalamy sobie... mamy zaszczyt...” Wzrok Artura zatrzymał się na sumie dziesięciu milionów dolarów. „Suma ta czeka na zapomnianym koncie, powstała z niedopłat do rządowych kontraktów - zapewniał nieznany korespondent. - Gdyby ją teraz ujawnić, poważnie zaambara-sowałoby to rząd. Panie Prezydencie, błagamy o pomoc, oczywiście nie bezinteresowną. Ukryjmy tę sumę na Pana koncie, inaczej rzucą się na nią biura podatkowe! Służby kontrolne i urzędy celne rozedrą ten kapitał na strzępy! Czy wyna-

86

Antylopa szuka myśliwego

grodenie w wysokości trzydziestu procent uzna pan za wystarczające? Nie zdziwimy się, jeżeli zarządza Pan czterdziestu. Trudno, czas nagli. Takich właśnie kwot domagają się uznani specjaliści".

List kończył się apelem, aby Artur natychmiast podał numer swojego konta, a wpłata nastąpi już za kilka dni. „Pan Komo jest przekonany, że ta pierwsza transakcja będzie tylko wstępem do następnych". W dalszych akapitach korespondent o nazwisku Ugondo zapewniał Artura o swoim głębokim szacunku.

- Bezczelni, myślą, że się na to złapię! Artur zmiął list w kulkę i celnie wrzucił ją do kosza na papiery.

Wieczorem opowiedział Ann o całym tym zdarzeniu. Siedzieli w jej pokoju na piętrze, słuchali muzyki. Opisał naiwność nigeryjskiej propozycji, zapewnił, że na nią nie odpowie. Odsunął kasztanowe włosy Ann, przesunął wargami po jej szyi.

Podniosła głowę:

- Dlaczego nazwali cię panem prezydentem?

Nie była pewna, czy Artur, wyrzucając list, postąpił mądrze i sensownie. Pamiętała lata, kiedy jej ojciec wracał do domu radosny, zasypywał łóżko banknotami i wołał do żony: „To wszystko jest twoje!". A potem jak posmutniał, gdy to się urwało... Jak matce wtedy zgrubiał głos, jak nakazywała mu przewijać dzieci, jak nim pomiatała. Wewnętrzny głos mówił Ann, że nie należy pomijać żadnej okazji. Raz stracona, już się nie

Antylopa szuka myśliwego

87

powtórzy. Cytowała przykłady, kiedy jednostka postępująca na przekór przesądom wysoko wyrastała ponad tłum.

Dziewczyna studiowała na wydziale sztuki, kończyła właśnie trzeci rok. Sztuka grecka, rzymska, bizantyjska, wreszcie impresjoniści! Cóż to była za epoka, ten fin de siecle! Za szklankę absyntu, za przygarnięcie nędzarza do łóżka kobieta mogła otrzymać świeżo namalowane płótno. Po latach taki obraz przypadkowo wypadał z szafy i okazywało się, że czyhali na niego marszandzi. Ann żałowała, że nie wybrała księgowości. Powinna była studiować finanse. Powoli zaczynała rozumieć, że zaczadzenie sztuką na dłuższą metę boleśnie się mści. Na szczęście miała urodę, była stworzona do obcisłych spodni. Rozmawiając z mężczyzną, zwijała loki na serdecznym palcu i odsłaniała drobne ząbki. Słyszac, że Artur wrzucił do kosza nigeryjski skarb, odchyliła główkę w zamyśleniu.

Wiedząc, co wywołuje jej zaciekawienie, uprawiał z nią okrutną grę.

- Wyobraź sobie - mówił - zmarł kuzyn Gregory. Czy wspominałem ci o nim? Chyba nie. Żałuję, że mieliśmy ze sobą tylko luźne związki. To oryginał i bardzo interesująca postać... Dostarczono mi paczkę z jego starymi rzeczami. Książki w skórzanych oprawach, zeszyt z kupletami sprzed stu lat, pamiętnik wypełniony żeńskimi imionami... I tu zwróć uwagę na jego dyskrecję, kuzyn Gregory nazwiska pań zaznaczył tylko pierwszymi literami...

88 Antylopa szuka myśliwego

-1 nic więcej w tej paczce nie było?

- Znalazłem pakiet starych druków. To cud, że nikt go nie ukradł. Akcje kolei żelaznych i, jak to wtedy mówiono, walory spółek Daimler i Suez. A także obligacje farmaceutycznych spółek wiesz, tych, których cena ostatnio tak wzrosła.

-1 co więcej?

- Są też udziały w kompaniach naftowych, tak, co do tego chyba się nie mylę... Przez kilka następnych dni młoda narzeczona nie przebywała na ziemi, lecz w obłokach. Obdarzała Artura podziwem i troską. Jej rodzice, właściciele domku w niedrogiej dzielnicy, wzbraniali się usiąść w obecności spadkobiercy. Wielokrotnie wyrażali współczucie z powodu utraty krewnego.

- Ale cóż - dodawali. - Wszystkich nas to czeka. I dlatego nie wolno się łudzić.

Po tygodniu Artur zdecydował, że nie sposób ciągnąć sprawy spadku dłużej.

- Wiesz, co się wczoraj stało? - zagadnął ciągle rozpromienioną Ann. - Pakiet akcji leżał rzucony na stole... A obok gazety z zeszłego tygodnia. Służąca zmieszała je razem i rozpałała nimi ogień na kominku.

-1 nic się nie uratowało?

- Tylko kilka gazet.

Ann pomyślała o czekającej ją rozmowie z rodzicami i chciała dokładnie poznać fakty.

- Wszystko spaliła głupia baba - bolał Artur. - Lecz nie martw się, mamy jeszcze to konto w Andorze.

Antylopa szuka myśliwego 89

- Konto w Andorze? -jęknęła dziewczyna.

- Nie mówiłem ci o nim? Więc powiem ci teraz. Andora to bardzo mały kraj leżący między Francją i Hiszpanią. Mieszkańcy trudnią się bankowością.

Ann patrzyła na Artura z rozpaczą, tak, jak patrzy się na dziecko cofnięte w rozwoju, lub brata alkoholika. Jedynie udawał zainteresowanie giełdą, a nazwy spółek wciąż mu się myliły. Nie było w nim tej zimnej zaciętości, która wróży mężczyźnie finansowy sukces. Inwestycje były dla niego tematem dowcipów, a finansistów uważał za nudziarzy.

Dziewczyna prenumerowała pisma dla kobiet, interesował ją zwłaszcza dział porad. Napisała list do redakcji, wyjaśniając całą sprawę i prosząc o natychmiastową pomoc. Doradczyni odpowiedziała, że powinna zdobyć kapitał, a dochody z pracy niech jej tylko wystarczą na szminki. A co do Artura, to musi z nim zerwać... Życzliwa osoba nie widziała dla niej przyszłości z Arturem.

Ann zgadzała się z tą radą, ale jednocześnie było jej żal narzeczonego. Nie chciała się z nim przedwcześnie rozstać. Przejrzała jego książki stojące na półkach. Rozważania

o sztuce, filozofia... Historie, które nadają się tylko do filmu. „Oto co on czyta” - pomyślała ze smutkiem. Czekają ją życie bez nadziei na sukces.

Następnego dnia Artura napadła zabawna myśl: Nigerczycy! Spod stosu papierów wygrze-

90 Antylopa szuka myśliwego

bał niebieską kartkę, starannie ją rozprostował. Prześle im numer konta, tyle że zmyślony. Pójdą fałszywym tropem, trochę się pomęczą. Bank of Capetown? Czy lepiej Golden Bank? Oba z pewnością nie istnieją. Bez wahania napisał numer konta: 005544 i zakodowany adres banku: 002245.

Tydzień później na biurku Artura pojawiła się zagraniczna koperta. Ponownie tytułowano go Panem Prezydentem. Pół strony zabierały wyrazy szacunku, pozostałą część listu przeczytał uważnie. „Mr Komo cieszy się z wiadomości od Pana - donosił sekretarz Ugondo. - Pozytywną odpowiedź przyjmuje jako dowód przyjaźni... Bliska współpraca ułoży się pomyślnie... Spodziewane owoce... Czas nagli”.

„Próbowaliśmy przesłać panu dziesięć tysięcy dolarów - informował zmartwiony sekretarz. - Ta suma miała pokryć pańskie przyszłe koszty. Niestety, przekaz wrócił. Systemy bankowe ciągle jeszcze nie działają sprawnie”.

Ta ostatnia wiadomość zastanowiła Artura. Przekaz wrócił, bo nie mogło być inaczej. Sekretarz Ugondo i Mr Komo chcą zbudować zaufanie od podstaw.

Wystarczy być uprzejmym, a roztrwoni się życie. Do kontaktów z Komo Artur podchodził ostrożnie. Ludzie proponują wątpliwe interesy, domagają się przyjacielskich usług, a jego na tę myśl ogarniały nudności. Taki był od dzieciń-

Antylopa szuka myśliwego 91

stwa. „Tobą się posłużyć, to jak wilkiem zaościć”

- powtarzała z wyrzutem matka. Artura cieszył jej bezsilny gniew.

Jednak założył prawdziwe konto. Wybrał bank średniej wielkości. W rubryce „rodzaj konta” napisał: „rachunek bieżący” i wpłacił równowartość stu dolarów. Urzędnik zrobił kopię jego referencji oraz dowodu miejsca zamieszkania. Były to formalności całkiem nowe, ale Artur ich nie kwestionował.

W zwięzłej notatce do Mr. Komo podał tym razem prawidłowe dane. Załączył list krótki, bez wyjaśnień i bez kajania się za poprzedni błąd.

Tydzień później usłyszał w słuchawce głos młodej Hinduski.

- Tu sekcja obrotów zagranicznych... - Upewniła się, że rozmawia z właścicielem konta.

- Czy spodziewa się pan wpłaty jakiejś sumy w dolarach?

- Spodziewam się dziesięciu tysięcy.

- Właśnie taka suma nadeszła. Przelejemy ją dziś na pana konto.

Od tego dnia między Arturem a sekretarzem Ugondo rozwinęła się korespondencja. Częste e-maile i faksy wędrowały w obu kierunkach. Wyglądało na to, że Nigerczycy chcą się zbliżyć do Artura, co między partnerami było całkowicie naturalne. I kiedy Ugondo poprosił go o podanie daty urodzenia, Artur nie widział w tym nic zdroźnego. „Mr Komo ma zwyczaj wysyłania życzeń. Nie zapomina o rocznicach ślu-

92 Antylopa szuka myśliwego

bów i urodzin - wyjaśnił sekretarz. - Wierzy, że w ten sposób buduje się więź.

Potrzebny jest nam także adres skrytki pocztowej, bo chcemy przesłać panu broszury dużego formatu".

Jeszcze tego samego dnia Artur podał potrzebne dane.

Ale najdziwniejsze życzenie przyszło po tygodniu. Był to prywatny faks od sekretarza Ugon-do. W tajemnicy przed panem Komo informował Artura, że urodziny szefa przypadają dokładnie za tydzień. Jest on niezwykle czuły na oznaki szacunku i będzie mu ciepło na sercu, jeśli otrzyma życzenia od Artura. „Słowo Johannesburg ma dla Mr. Komo nieomal magiczne znaczenie - pozwolił sobie na ironię sekretarz. - Zgódźmy się, że jest to niewinna słabość bardzo zasłużonego człowieka".

Po dziesięciu minutach zadzwonił telefon. Był to sekretarz Ugondo.

- Te życzenia powinny być napisane ręcznie

- prosił. - A nie przez sekretarkę na maszynie.

- Wiem, jak się pisze prywatne listy - odparł trochę zirytowany Artur.

„Czy ci ludzie nie zabierają mi zbyt wiele czasu?" - zastanowił się. I uznał, że jak dotąd nie. Oznaczono dnia skreślił kilkudzaniowy list. Zapewnił Mr. Komo o swojej przyjaźni, wyraził nadzieję, że będzie miał przyjemność go poznać. Tym listem skrócił dystans, jaki dotychczas ich dzielił. Podpisał się pełnym imieniem i nazwiskiem.

Antylopa szuka myśliwego

93

Suma dziesięciu tysięcy spoczywająca na koncie dawała Arturowi dużo satysfakcji. Zastanawiał się, czy powiedzieć o niej Ann. W pracy, na skrawkach papieru, rysował jedynekę, a za nią długie rzędy zer. Mało brakowało, aby z powodu przesądów odrzucił realną propozycję. Nigerczy-cy pokazali kolor swojej łapy i okazała się biała jak śnieg.

Artur pogrążony był w tych myślach, gdy zadzwonił biurowy telefon. W słuchawce usłyszał głośną muzykę, po tamtej stronie ktoś uparcie krzyczał: „Wyłączcie to diabelskie radio!".

Na koniec rozległ się spokojny głos:

- Mówi Mr Komo.

- Witam - odpowiedział Artur. - Czekałem na możliwość tej rozmowy. Dotychczas...

- Wiem. Rozmawiał pan z tym oszustem Ugondo.

- Istotnie. Prowadziliśmy rozmowy z pańskim sekretarzem...

- Byłem sekretarzem.

-Ach... Pan Ugondo przejął inne obowiązki?

- Uciekł. Znikł. Będę z panem szczerzy, nawet z kasą. Jest to dla mnie bolesny cios, ponieważ traktowałem go jak syna.

- Takie rozczarowanie... - zgodził się Artur.

- Gdyby to były moje pieniądze, to pół biedy - w jakimś oddalonym miejscu bolał nad zaistniałą sytuacją Mr Komo. -Ale on zagarnął pieniądze klientów. Moim najlepszym przyjaciółom ogołocił konta. Ten bydlak umiał wzbudzać zaufanie...

- Przykro mi. Naprawdę współczuję.

94

Antylopa szuka myśliwego

Antylopa szuka myśliwego

95

- Jeszcze nie wiem, komu będzie przykro. To się niedługo okaże. Tak czy owak, nie

róbmy alarmu. Są dwie możliwości: jedna, że Ugondo pana okradł, druga, że działacie w ścisłej spółce. Teraz niech pan biegnie do banku, zadzwonię za niecałą godzinę.

Już po piętnastu minutach Artur był na schodach do banku. Poprosił o stan konta. Urzędniczka była niezwykle powolna. Wyrwał jej papier z długich palców, przestudiował cyfry u dołu.

Minus trzysta osiemdziesiąt tysięcy. Dokładnie tyle wynosiły jego oszczędności. Jak coś takiego mogło się stać? Prześledził odbyte transakcje, skupił się na datach. W tydzień po wpłacie dziesięciu tysięcy pieniądze wyparowały z konta. Dzień później jego oszczędności zostały ściągnięte do Banku Rozwoju i jeszcze tego samego dnia przesłane pod jakiś adres w Tajlandii.

Kierownik działu natychmiast rozpoznał Artura.

- Na pańskim koncie był ostatnio duży ruch. -Urzędnik nie krył podziwu.

Najwyraźniej Artur śledzi rynek, nie wierzy w długotrwałe depozyty.

- Na jakiej podstawie dokonaliście tych transakcji?

Urzędnik zajrzał do dossier, sprawdził wydruki z komputera.

- Przychodziły polecenia pisane odręcznie, zgadzały się z pańskim charakterem pisma. Pod tym względem jesteście niebywale ostrożni - zapewnił Artura bankowiec.

- Lecz to nam nie

wystarcza. Każde polecenie sprawdzamy telefonicznie.

- Skąd wiecie, że rozmawiacie z właściwą osobą?

- Najpierw pytamy o datę urodzenia, następnie o kilka innych drobiazgów - numer skrytki pocztowej, telefon domowy... Rzecz jasna odpowiedział pan bezbłędnie.

- Pod jaki numer dzwoniliście?

- Pod nowy. Ten, który nam pan ostatnio przysłał. Artur spojrział na zegarek, za chwilę będzie

dzwonił Mr Komo. Odepchnął kasjera i ruszył ku wyjściu.

O oznaczonej godzinie odezwał się Komo. Tak jak poprzednio jego głos zagłuszało radio.

- Zginęło dziesięć tysięcy dolarów, a także moich własnych trzysta osiemdziesiąt! - krzyknął Artur w słuchawkę.

- Mówimy o dolarach czy o randach? A może chodzi o funty szterlingi? Proszę, aby pan nie mieszał walut.

Artur raz jeszcze wykrzyczał, ile stracił. Chciał wiedzieć, gdzie są jego pieniądze.

- Tam gdzie Ugondo. Jestem pewny, że się z nimi nie rozstaje.

- A gdzie jest Ugondo?

1 znowu Mr Komo powtórzył, że sekretarz ugodził go prosto w pierś. Niełatwo mu będzie podnieść się po tym ciosie.

- Bydlak pożałuje, że przyszedł na świat - zapewniał Nigerczyk. - Każę nagrać na taś-

96

Antylopa szuka myśliwego

mę jego skamłania, trzask łamanych palców. W domu spokojnie posłucha pan sobie tych taśm. Zawsze to będzie jakieś pocieszenie.

I Artur został z głuchym telefonem w ręku. Kiedy próbował sprawdzić, kto dzwonił, wyświetlił się napis, że była to linia prywatna.

Jeszcze tego samego dnia rozmawiał ze znajomym prawnikiem. Prawnik, o imieniu Otto, przyjął go u siebie w domu. Poczęstował znakomitą whisky, prosił, aby Artur nie brał sobie straty do serca. Znał identyczne przypadki, ich liczba niestety ciągle rośnie.

- Padłeś ofiarą gangu - zapewnił Artura. - Nie dałeś się nabrać byle amatorom!

Potem tłumaczył:

- Podpis był fachowo podrobiony, zgadzały się dane osobowe. Czyli bank dopełnił swoich obowiązków. Musimy zacząć od udowodnienia, że nie zaszedł tu wypadek zmowy.

- Zmowy?

- Pomiedzy klientem i gangiem. Banki ogromnie nie lubią, gdy sieje pomawia. Szukają u przeciwnika słabości.

Otto żywo zapewnił, że obrona Artura nie nastreczy mu wyjątkowych trudności.

Będzie ciężko, bo sprawa nie jest całkowicie jasna. Na korzyść klienta przemawia fakt, że dotychczas nie był karany. I dlatego jest szansa na drobną odprawę ex gracia, która wystarczy na pokrycie kosztów. Potem dodał z krzywym uśmiechem:

Antylopa szuka myśliwego 97

- Masz szczęście, że najałeś mnie... Uparci pokrzywdzeni odstępują od skarg dopiero, gdy bank im nałoży kajdanki.

- Kapitały płyną okrężną drogą - jeszcze tego wieczora tłumaczył zaniepokojonej Ann. Martwił ją brak nowego domu i to, że już dwa razy odkładali ślub. - Nie chcesz chyba, aby na nas spadli inspektorzy? Biura celne, urzędy skarbowe... Zapytają o pochodzenie tych sum. I gdzie zostały opłacone podatki? Chciwa zgraja, nie zadowolą się uczciwą odpowiedzią, roz-drapią nam te grosze do cna!

Ale Ann miała wyostrzone czułki. Poznała, że sprawa się wikła. Podobną opinię miała jej rodzina. Ojciec nalał sobie piwa i w obecności Artura głośno żłopał je sam. Matka bąknęła, że młoda dziewczyna nie powinna „wpędzać się w lata”. W ataku paniki zdolna jest do popełnienia głupstw. Z dnia na dzień może odlecieć do Londynu albo wydać się za jakiegoś prostaka.

Potem omawiali wypadek przemysłowca, o którym ostatnio pisano w gazetach. Dał się zastrzelić, jakoby przy próbie rabunku. Przedtem solidnie ubezpieczył się na życie, podobno chodzi o wiele milionów...

- Sam nie mógł sobie palnąć w łeb ze względu na chytre klauzule - objaśniał ojciec.

Przejrzał chytre plany przemysłowca

- Dlaczego ty się tak nie ubezpieczysz? - zawołała z kuchni matka Ann.

- Bo nie miałbym na pierwszą składkę.

98 Antylopa szuka myśliwego

Ann oglądała broszury z willami, rezydencje, które rzadko pojawiają się na rynku. Ta na wybrzeżu, tamta w górach... Farmy ukryte za starymi drzewami. Artur wyjmował jej z rąk te piśmidła i rzucał z obrzydzeniem na podłogę.

- Solidne ogrodzenie, ale dom bez smaku! - krytykował. - W dodatku zły punkt! A ta chałupa zaprojektowana bez głowy! Można zbudować dom na stoku, ale nie wchodzi się do salonu przez garaż!

Odezwał się telefon.

- Przylatuję do Johannesburga. - Nigerczyk mówił głosem Louisa Armstronga. -

Musimy pogadać o wiadomej sprawie... Kawiarnia Mi-chael Angelo? Jutro o dziewiątej?

Artur przyszedł wcześniej i wybrał miejsce z widokiem na skwer. Stoliki były szeroko rozstawione, słowa łatwo utoną w obiciach ścian.

Punktualnie o dziewiątej zadzwieczył telefon.

- Zmiana planów - informował go obcy mężczyzna. - Spotkanie przekładamy na dziesiątą.

- Gdzie mam być?

- Na lotnisku. W hotelu Intercontinental.

O tej porze ruch już wydatnie się zmniejszył i Artur dotarł na dziesiątą bez przeszkód. W podziemnym parkingu zostawił wóz, otarł się o ludzi z walizkami. „Widocznie Komo właśnie dziś przybywa - myślał. -1 chce swój pobyt zacząć od spotkania ze mną”.

Znowu telefon. Tym razem nieznajomy był wyraźnie zatroskany.

Antylopa szuka myśliwego

99

- Nie obrazi się pan na nas? -Nie.

- A czy na pewno? -Kim pan jest?

- Nowym sekretarzem Mr. Komo.

- Gdzie on teraz jest? W Lagos?

- Nie... W Johannesburgu, ale nie może przybyć na lotnisko. W gabinecie prawników, w środku miasta, podpisuje ważne umowy.

Nowy sekretarz wytłumaczył Arturowi, że spotkają się w Sandton, w hotelu Twin Towers.

Artur znowu gnał na spotkanie. Na autostradzie zdarzył się wypadek, wozy ściekały na jeden pas jak do lejka. Artur walił dłonią w kierownicę, przeklinał sprawców, złorzeczył ułożonym na trawie ofiarom.

Wreszcie wyrwał się z zatłoczonej obwodnicy i znalazł na biegnącej pod górę prostej. Dwa razy przeskoczył czerwone światła. Ludzie pukali się w czoło, grozili bezsilnie pięściami.

Znalazł miejsce w garażu, wpadł do zamykającej się windy. Zwolnił krok dopiero przed wejściem na salę. Pod palmą siedziała grupa Hindusów, pijąc kawę z miejscowymi partnerami. Obok konsultanci z Anglii, Niemiec, wyblakłe typy w ciemnych garniturach. Podeszedł do siedzących przy stoliku dwóch czarnych.

- Mr Komo?

Odpowiedzieli mu z akcentem amerykańskim. Jego pytanie wzięli za zaczepkę, kto wie, czy nie na podłożu rasowym.

100

Antylopa szuka myśliwego

Znowu telefon:

- Zebranie odbędzie się za półtorej godziny. Przepraszamy i prosimy o cierpliwość.

Mr Komo był w jasnym ubraniu i rozpiętej czerwonej koszuli. Dwa metry wzrostu, zachrypnięty głos. Sekretarz niósł za nim teczkę z papierami.

Komo zajął miejsce w fotelu, wskazując Arturowi krzesło.

- Nazywa się Ugo - przedstawił sekretarza. -1 jest mi wierny jak pies.

Ugo wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- A co z Ugondo? - spytał Artur.
- Kiedy go znaleźliśmy, przetracił już wszystkie kapitały.
- Moje też?

-Zaczął od wydawania twoich. Poszły na pierwszy rzut.

Mr Komo znał świat, bywał w Paryżu i Madrycie. Wymienił kilka najdroższych hoteli. Nie, Ritza nie lubi. Obsługa patrzy tam na gości z góry, nie pomagają nawet napiwki i podarki. Natomiast dziewczyny najlepsze są w Londynie. Przyjeżdżają na podstawie krótkoterminowych wiz.

Wychylił dwie szklanki soku, potem koniak. Skinął na Artura, i gdy siedzieli twarzą w twarz, powiedział po długim namyśle:

-Artur, ty dysponujesz dużym potencjałem. Ja się na tych rzeczach znam.

- Ja? Czyja wiem... Może...

- Zadzwoń do ciebie Quinton White. Uregulu-

Antylopa szuka myśliwego 101

je z tobą sprawy finansowe. Cokolwiek powiesz jemu, to jakbyś mówił mnie.

Omówicie plany wspólnych działań.

- Nie znam wielu osób, które kręcą ekonomią

- wycofywał się Artur.

- Każdy umie zrobić kopie dokumentów...

- przekonywał Mr Komo. - Wypić z przyjacielem szklanekę wina... Czy zacytować ci nasze przysłowie? „To nie myśliwy tropi antylopę, ale antylopa szuka myśliwego”.

- Artur... - dodał - ...tam na kanapie siedzą dwie dziewczyny. Nie obrazisz się, jeśli cię zostawię? Jedna odpina i zapina bluzkę, druga masuje sobie uda.

Dni upływały na wyczekiwaniu. Quinton White. nazwisko było mu całkowicie obce. Artur patrzył milcząco na telefon, Ann była bez przerwy zajęta. Jak Buszmen po złamanej gałązce i śladach na piasku dostrzeże niebezpieczeństwo, tak ona odkryła, że grozi jej popełnienie błędu. A może Artur wydzielał woń klęski, na którą kobiety reagują ucieczką?

Całymi dniami rysował strzeżone osiedla. Właścicielom podsuwał nazwy greckie, włoskie: Toskania, Tracja, wszystkie im się podobały. „Ten projekt przyniesie wam kokosy - wmawiał głupcom. -To jest najlepsza inwestycja, jaką znam”. A w duchu wiedział, że ta bańka musi prysnąć, posucha rychło nastanie. „Te pokoiki w amfildzie, szafy w ścianie, będą rozdawali za pół darmo...”.

102 Antylopa szuka myśliwego

Tymczasem ekonomia kwitła, kupujących nie brakowało. Tuczylili się ludzie o wąskich horyzontach, a Artur rysował dla nich bramy z kolumnami.

Podniósł słuchawkę.

- Tu Quinton White - usłyszał. - Czy to prawda, że mamy wspólnych znajomych?

- Istotnie - skwapliwie zgodził się Artur. Głos należał do mężczyzny, który na pewno ukończył dobre szkoły. Stanowczy, ale o łagodnych tonach, bez chępliwości i porykiwania, w których celuje średni biznes.

Nieznajomy wspominał coś o zrzędzeniach losu, które łączą ludzi pochodzących z różnych kręgów. W ostatnich dziesięcioleciach świat się zmienił, i należy wyzbyć się przesądów. Ważne, aby się umieć z każdym porozumieć, wspólny język jest wymogiem chwili.

Umówili się na następny dzień na lunch.

- Estrapada? - zaproponował Quinton. Artur przystał na ten wybór, co znowu zrobiło przyjemność rozmówcy.

- Dobra obsługa - kończył. -1 powiem panu, tam nie trują.

Budynek był płaski, z szorstkiej czerwonej cegły, z szerokimi oknami wychodzącymi na ogród. Przy wejściu wisiały zdjęcia wybitnych biesiadników: Clinton z Mandelą, pani Thatcher, podstarzały francuski aktor i piosenkarz...

Antylopa szuka myśliwego 103

Quinton miał około czterdziestki, ubrany był w jasne spodnie i kremową koszulę.

Marynarkę oddał na przechowanie portierowi, który zaopiekował się nią ze specjalną dbałością. Opalony i wysportowany, na plecach nie dźwigał przedwczesnego garbu.

Widać było, że życie traktuje go znośnie, dużo czasu spędza na polach golfowych, a popołudnia pod markizą nad basenem. Biuro? Tak, informowany jest tylko o ważniejszych transakcjach. Normalnie sprawy toczą się bez niego, dbają o to dobrze opłacani pracownicy.

Łatwo żeglował po ostatnich wydarzeniach i czuło się, że jego informacje nie pochodzą z gazet. Skrytykował expose ministra finansów, pomimo że je na ogół chwalał. Zastanawiała go ostatnia zbrodnia w Houghton, w której zginął przedstawiciel jednej z wielkich firm.

- Piszą, że była to próba porwania samochodu - sugerował Artur.

- Obawiam się, że w tym może tkwić coś więcej.

Po półgodzinie byli już z Arturem na ty.

- Klient poprosił tu raz o ketchup... Wyobrażasz sobie? - Quinton czuł się w tej restauracji gospodarzem. - Właściciel kazał mu podać plastikowe widelce, które przy lada naciśnięciu z trzaskiem popękały.

Gadało im się przyjemnie, na wiele spraw mieli podobne poglądy. Szerokim łukiem omijali dowcipy rasowe. Kiedy Quinton wymienił kilka modnych klubów, Artur oświadczył, że je

104 Antylopa szuka myśliwego

zna. Dotknęli paru biznesowych spraw. Węgiel? Przebrzmiało, chociaż podobno otwierają się Chiny. Ropa? Zbyt duży ścisk. Kobalt? Jeszcze rok temu kto miał kobalt, ten płynął jachtem o rozpiętych żaglach. Obecnie cały zysk przechwytuje konkurencja z Konga.

- Niestety - ubolewał Artur. - Nie wszyscy znają reguły gry.

Quinton odstawił kieliszek, zniżył głos. Zdecydował, że nadmierna zwłoka mogłaby wyglądać na próbę sił.

-Ten Komo... - zaczął - ...ma swoje złe strony, ale cechuje go skrupulatność. Ile jest ci winny?

- Trzysta osiemdziesiąt tysięcy. Może być na raty, jeśli zechcesz...

Ale Quinton już wyciągnął książeczkę czekową. I Artur widział, jak wypisuje czterysta.

Klub chlubił się stuletnią tradycją, założyli go pierwsi magnaci Transvaalu. Wtedy nazywano ich napływową hołotą, ale dziś ich portrety zdobią salon. Dom klubowy zapadł się w ziemię, wyglądał na trochę zmurszały. Nikt tu nie dbał o politurę ani o przycinanie kwiatów. Kto chce, może pójść do nowych klubów. Panuje tam zabójcza

czystość, pobiera się niskie wpisowe, toleruje się hałaśliwą wesołość.

Publiczność schodziła się na mecz polo. Przy wejściu Ann po raz pierwszy zobaczyła Quin-tona. Czekał na nich, był członkiem wprowadzającym. Od razu zrobił na niej korzystne wrażenie. Przystojna, nieco charcja twarz, ze znaw-

Antylopa szuka myśliwego 105

stwem oprowadził ich po obszernym domu klubowym.

Tego dnia Ann włożyła niebieski kapelusz z szerokim, opadającym rondem. Torbę miała tego samego koloru, kostium dopasowany, na szyi i na przegubach rąk trochę złota.

Nowe pieniądze paradowały beztrąsko. Mężczyźni w garniturach z epoki gangsterów w Chicago, kobiety nieświadome, jak wysoko rozcięte są ich suknie. Uwagę zwracała modelka w płaszczu z cekinów, inna znowu w nawarstwionych falbanach. Szare fraki jednym klubowiczom przydawały dystynkcji, innym wyraźnie krępowały ruchy.

Sztuczni nędzarze i sztuczni bogacze taksowali się z uprzejmą ciekawością.

Quinton znalazł wielu z przybyłych gości. Jednych witał uściskiem dłoni, z innymi wchodził w przyjacielskie pogawędki. Nie widział wpatrzonych weń oczu Ann albo nie chciał jej podziwu zauważyć. Stale podkreślał zalety Artura, dbał o to, aby swoją nonszalancją go nie zaćmić. Nazywał go swoim bliskim przyjacielem i chlubił się ich zażyłością. Byli jego gośćmi, a on był tu gospodarzem, lecz w niczym się nie narzucał. „Zapytajmy Artura - powtarzał. - Przejdziemy się trochę, czy wrócimy na miejsca? Dowiedzmy się, co on o tym sądzi”. Nawet w drobiazgach nie chciał decydować sam, a w kwestii przepisów gry bezustannie zasięgał jego opinii.

- Czy ta piłka powinna się liczyć, jak myślisz?

106 Antylopa szuka myśliwego

- Z pewnością - wyjaśniał Artur. - Widziałem, jak.... podebrał ją z ziemi.

- A to zagranie... Chyba nieprawidłowe?

- Na granicy dopuszczalności. Właściwie to już zależy od sędziego. Nie zdziwiłbym się, gdyby tego punktu nie uznał.

Właściciele banków i kopalń siedzieli w dwóch pierwszych rzędach. Wkoło nich tłoczyli się młodzi, prosto z najlepszych szkół. Publiczność obserwowała znużone twarze potentatów. To dzięki nim, a nie graczom w polo, ten dzień stał się podniecający i odświętny. Tak jak chirurg zna zwoje mózgu, tak oni rozumieli się na ekonomii. Nie wiązały im rąk teorie, nie grzęźli w pozwoleniach i papierach. Ich obecność świadczyła, że w przeszłości też uprawiali sporty. Obecnie jednak grali w prawdziwe gry, gonienie za piłeczką tylko by ich nudziło.

Ann była zachwycona. Ten świat stał przed nią otworem, okazał się przyjazny i prosty. Chłoneła obecność tylu znanych osób, chętnie zapisywałyby nazwiska na karteczce. Zapragnęła, aby i na nią zwrócono uwagę. Czy powinna się była oryginalniej ubrać? Na razie przylgnęła do Quin-tona.

Wśród siedzących w łoży zauważyła Andre le Roux, legendarnego gracza na giełdzie. Duża głowa, wydatny brzuch, wydawało się, że le Roux drzemie. Pod wpływem nagłego impulsu zapragnęła do niego podbiec, pocałować w usta i zapewnić, że wyniki ostatniego półrocza są naprawdę olśniewające.

Antylopa szuka myśliwego 107

Dwa rzędy dalej siedział inny potentat. Nie ruszał się bez swojego współnika

Thabalala. Piętnaście lat temu odstąpił mu część akcji i dziś, kiedy firmy biją się o czarnych dyrektorów, on już swojego miał, wyhołubił go sobie od maleńkości. Jednak prym wiodły stare pieniądze. Kilka rodzin, które nie muszą już o nic dbać. Mężczyźni w zmiętych marynarkach i wypłowiałych koszulach, spodnie rury. Kobiety po operacjach plastycznych. Nie uśmiechały się, aby nie pękła im skóra na czole, kapeluszami ocieniały nieruchome twarze. Przybyły tu z poczucia obowiązku. Wypadli jeźdźcy. Przez trybuny przebiegł szmer podniecenia. Każdy szukał kogoś znajomego. Raz był to syn, który nie może żyć bez polo, innym razem wysportowany narzeczony.

Gracze zbili się w koło, pobierali ostatnie instrukcje. Konie przysiadły na zadach, słuchały krótkiego wędzidła. Raptem zakotłowało się, posypał się żwir i kępki trawy. Wzburzone zwierzęta rzuciły się w galop, aby gwałtownie zahamować w biegu. Pokierowane przez jeźdźców, szybko rozumiały, że krążek potoczył się w stronę przeciwległej bramki.

Odnotowano pierwszy punkt dla gospodarzy. Na trybunach rozległy się pojedyncze oklaski, widzowie poddali drużyny krytycznej ocenie. Zawodnicy wrócili do przerwanej gonitwy, znowu tumult, dudnienie kopyt i okrzyki nagłego triumfu. Ann przypatrywała się swoim mężczyznom. Mimo woli robiła cierpkie porównania.

Quinton

108

Antylopa szuka myśliwego

reprezentował niewymuszony styl, zaś Artur założył odświeżone ubranie, a do tego był usłużny i uczynny.

- A czy znasz może pana O.? - Ann dotknęła ramienia Quintona. - To historyczna rodzina... Porównują go z Rockefellerem. Ciekawe, jaki on jest naprawdę? Czytałam, że wciąż powiększa zbiory i jest koneserem sztuki afrykańskiej.

- Czy go znam? Mój Boże... Muszę wymyślać wciąż nowe powody, aby wykręcić się od pójścia do nich na lunch! Zaproponuję, aby was zaprosili. Artur, zgodzisz się?

Powiedz szczerze.

Artur miał dostęp do poufnych dokumentów. Znał elektroniczny szyfr, który otwierał metalową szafę. Wewnątrz leżały umowy z klientami, przechowywano dowody wpłat oraz katastralne plany. Często sięgał do wyceny robót, przeglądał akty zakupu ziemi i wyniki przetargów. Sprawdzał wymiary działek, upewniał się, w jakiej odległości od granicy można postawić budynek i ile może mieć piętér. Te informacje stanowiły załączniki do umów, które podpisywali inwestorzy z firmą.

Najpoważniejsze wydatki były z góry określone, a także przewidywany zysk. Bez sensu byłoby topić kapitały w dzielnicach położonych w pobliżu ubogich osiedli. Z drugiej strony, szanujący się inwestor nie chciał proponować klientom kurnych chat.

Artur często wyjmował te teczki, rozkładał je pod lampą i robił wypisy. Któregoś dnia zrobił fotokopie czeków i przekazów. Zainteresowały

Antylopa szuka myśliwego

109

go osoby prezesów i głównych księgowych firm. Zanotował ich dane osobowe.

Na początek wziął pod lupę spółkę „Akacja”. Ci ludzie działali już od dziesięciu lat, i większość projektów im się udawała. Artur znał właścicieli, lecz pobieżnie, nie zaszczycali go długimi rozmowami. Najczęściej spotykał się z projektantami. Dla nich sporządzał szkice zabudowy, z nimi ustalał rodzaj kostki parkingowej lub

sposób wygięcia żeliwnych balustrad.

Quinton z zainteresowaniem spojrzął na te dane, przyjrzał się odbitkom podpisów, pod światło oglądał kopie dokumentów. W czasie lunchu -ich wspólne posiłki stały się rutyną - chwalił Artura za sporządzenie solidnego dossier.

- Właśnie o takie materiały chodzi... A resztę już zostaw mnie.

Tydzień później zjawili się właściciele, Akacji". Zapowiedzieli, że na pewien czas trzeba wstrzymać roboty. Zaszedł niewytłumaczalny wypadek, z konta zginęły im cztery miliony. Dyrektor finansowy, pomimo niezbitych dowodów, nie chciał się do tej malwersacji przyznać. W końcu opadły mu ręce... Aby uniknąć aresztu, strzelił sobie w łeb.

- Czy uczciwy człowiek by tak postąpił? - współnicy pytali Artura.

- Raczej powinien się bronić. A te miliony?

- Ciągnie się za nimi nitka z banku do banku, naliczyliśmy osiem tajemniczych firm. Tymczasem obserwujemy wdowę i rodzinę. Liczymy, że ktoś z nich się wygada lub pośliznie.

110 Antylopa szuka myśliwego

Quinton postanowił, że powinni zmienić restaurację. Czas, aby spróbowali czegoś z ryb. Wybrali Godfather. Stoliki stały tam pod drzewami, zamiast pokrzykiwania kelnerów słychać było szelest liści.

- Czy widziałeś się ostatnio z Mr. Komo? - spytał Artur.

- Od ostatniej rozmowy minęły już chyba dwa tygodnie? - zastanawiał się Quinton. - Ale wiem, że nie zapomniał o tobie.

Potem doradził Arturowi, żeby założył firmę. Specjalność? Inwestycje. Firma założy konto. W jakim banku? Najlepszy będzie Bank Rozwoju Afryki Zachodniej.

Po tygodniu na konto firmy wpłynęło prawie pół miliona. Artur natychmiast zadzwonił do Quintona.

- Czy wiesz coś o tym?

Quinton był szczerze zdziwiony. A później zaproponował krótki wypad w busz.

- Znajomy ma farmę w Natalu. Zaprasza na polowanie - impale, kudu, njale... Ann będzie zadowolona z takiej wyprawy.

Ann umiała z dużą dokładnością określić, gdzie znajduje się Artur o każdej porze dnia. Używała przy tym aparatów stacjonarnych i komórkowych. Znała czas jego przejazdu do biura, wiedziała, jak długo jedzie windą. A kiedy wypadał na budowę, dzwoniła do stojącego tam baraku. Planowała, że po ślubie będzie zmywał i gotował.

Antylopa szuka myśliwego 111

- Mój ojciec zdradzał matkę i w domu było piekło - wyznała. - Czy ty będziesz inny? Co chcesz, żebym dla ciebie zrobiła?

- Ułóż sobie włoski łonowe... Ale nie na kształt serca. Chyba są od tego odpowiedni fryzjerzy? Albo czekaj, ja sam to zrobię.

Quinton przyjechał po nich bmw z napędem na cztery koła. Była piąta rano. Ann usiadła obok niego, Artur ułożył się na tylnym siedzeniu. Pod głowę podłożył zwinięty koc.

Minęli Pretorię, wydostali się na autostradę prowadzącą na wschód. Z pobliskich kopalń wyjeżdżały na drogę ciężarówki. Wypadały z nich grudki węgla. Kierowców ponosiła fantazja i ścigali się łeb w łeb.

- Mam swoje kryteria - mówiła Ann do Quin-tona. Droga była prosta, krajobraz monotony. - Nie chcę słyszeć, że ktoś mnie kocha. Miłość jest płytka, a ja potrzebuję czegoś głębokiego. Miałam szereg poważnych propozycji, ale zawsze Artur zwyciężał.

Ostatnie sto kilometrów jechali kamienistą drogą. Ciągnęła się za nimi wstęga kurzu. Zatrzymali się przed nisko położonym mostkiem. Nad głazami spojonymi gliną przewalała się brązowa fala. Jechali ostrożnie, aby nie wytrącić kamieni z łożyska, a potem metr po metrze, na terenowym biegu, wdzierali się na stromy brzeg.

Dom stał na wzgórzu, otoczony był jasną zielenią. Górowała nad nim cysterna z blachy falistej,

112 Antylopa szuka myśliwego

osadzona na żelaznym rusztowaniu. Spływały z niej gumowe rury prowadzące wodę, a w górę piął się po nich kwitnący bluszcz. Przed domem rozciągał się trawnik, a dalej czerniały drzewa owocowe, atakowane przez kolczaste zarośla. Południowa ściana budynku była ciemna i wilgotna, poruszana wiatrem wyrosnięta akacja drapała kolcami o mur.

Dwadzieścia lat temu mieszkał tu farmer z rodziną. Na wzgórzu, otoczone żeliwnym ogrodzeniem, wystawały jeszcze z ziemi stare groby. Leżeli tam dziadowie farmera - pierwsi biali, jacy tu dotarli. Dziś dom służył za schronisko dla myśliwych. Wkoło okien odczyszczono ściany, po szczytowej biegł zardzewiały drut, służący za piorunochron.

Otworzyły się drzwi jednej z przybudówek i ukazał się w nich mężczyzna w zielonej koszuli. Szedł chwiejnym krokiem, jakby wyrwany z drzemki. Przedstawił się jako Peter Shaw, Biały Myśliwy. Zapewnił, że gośćmi zajmie się natychmiast, a jutro poprowadzi ich na łowy. Tymczasem każe rozniecić ogień i zadba o przysmażenie kiełbasek. Dopilnuje, aby wywietrzono pokoje i wymieniono prześcieradła na łóżkach.

Poprowadził ich w głąb sieni, która przecinała dom. Wyjaśnił, że w każdym pokoju jest miednica i dzbanek z wodą. Oprócz tego w ogrodzie, za ogrodzeniem z bambusów, można wziąć chłodny prysznic. Dodał, że nie ma tu elektryczności i nie tęsknią do niej. O zmroku zapala się lampy naftowe.

Antylopa szuka myśliwego

113

Środek przestronnej izby zajmował stół zbity z desek. Pod ścianami stały połamane sprzęty, zostawione przez rodzinę farmera. Na ścianach wisiały myśliwskie trofea. Na sterczącej gałęzi tkwiły nieruchome ptaki, a na nierównym kamieniu, w modlitewnym przysiadzie, czał się wypchany lew.

Biały Myśliwy nie przypominał swego pierwowzoru z Krótkiego szczęśliwego życia Francisa Macomera. Tamten odzywał się niechętnie, chodził w wyprasowanej koszuli, w swoim namiocie gościł bogate turystki. Shaw zżył się z tą ziemią, śledził jej przemiany, martwił się rozprzestrzenianiem szkodliwych porostów. Obserwował kryjące się w zaroślach łanie, obliczał przychówek, a kiedy ogień strawił kawał buszu, podrzucał wygłodniałej zwierzynie sól i siano.

Przed dom wyszły dwie młode Zuluski: Ta-któraprzynosiszczęście i

Taktórawybaczaprzewiny. Włosy upięły w kwiat ananasu, jako panny chodziły z odkrytymi biustami, a na brzuchach miały nieduże fartuszki. Stały obok wejścia,

witając przybyłych. Rokrocznie udawały się do okolicznej wsi na obrządek badania dziewictwa. Ostatnim razem wróciły zapłakane.

Przybiegł czarny pomocnik, uśmiechem powitał gości. Rozniecił ogień na kominku i w izbie zrobiło się jaśniej. Uruchomił gazową lodówkę, po czym przyniósł szklanki na żelaznej tacy.

Biały Myśliwy łaknął towarzystwa przyjezdnych. Zapewnił, że zna busz, wie, jak się podchodzi do zwierzyny. Rankiem zaprowadzi

114 Antylopa szuka myśliwego

ich nad błotniste rozlewisko, gdzie zwykle gromadzą się impale.

- Nie ma piękniejszego widoku niż łanie z małymi - wyznał. - Kiedy je widzę, strzelam w powietrze.

- Dlaczego? - zdziwiła się Ann.

- Żeby się bały ludzi - powiedział i dodał:

- Bo trafiają się tu czasem rzeźnicy... Mają błyszczącą broń i nie oszczędzają amunicji. Słychać, jak uderzają kule: pac, pac, pac... Inni znowu gubią się w buszu, gdyż brak im wrodzonej orientacji. Nie wiedzą, gdzie jest zachód, a gdzie południe, bezradnie zataczają coraz szersze kręgi.

Zgromadzili się wokół ognia, patrzyli na płonące szczapy.

- Pewna turystka przyjechała tu z pieskiem

- wspominał Peter. - Karmiła go czekoladą. Piesek wyskoczył z wozu, podbiegł do drzewa i zaczął gwałtownie ujadać. Wtedy chwycił go pyton. Chrupnęły kostki i...

- A nie chciałby pan przenieść się do miasta?

- podsunęła Ann.

- Już tam byłem... - Biały Myśliwy rozłożył dłonie. - I też nie rozstawałem się z myśliwskim nożem.

Dziewczyna zapytała, jakie niebezpieczeństwa czyhają na myśliwych. Czego trzeba się najwięcej obawiać?

- Niebezpieczeństwa? Czasem trafi się mamba, ale wąż za człowiekiem nie goni. Gdy go potracić, wtedy wpija się w łydkę, ale to rzadkie wypadki.

Antylopa szuka myśliwego 115

- I co wtedy?

- Ma się piętnaście minut na rachunek sumienia. Potem przed oczami kołują czarne płatki. I dlatego, kiedy się idzie w busz, trzeba mieć ze sobą zaostrzony ołówek.

- Żeby nim walczyć?

- Żeby zapisać na dłoni, co to był za wąż. Czarna mamba, zielona mamba. Ratownicy znajdują ten zapis na ręku i łatwiej im dobrać serum.

Ann zainteresował ten Biały Myśliwy, chciała go poznać bliżej. On rozgadał się o swoim życiu, dumny był ze swej życiowej mądrości.

- Wiedzie mi się dobrze - opowiadał, podsycając ogień. - Na wypadek komy z góry zapłaciłem za szpitalne łóżko. Na okres dziewięćdziesięciu dni. To sprawa zbyt poważna, by ją zostawić rodzinie... zwłaszcza gdy są to ludzie dość porywczy.

Quinton podziwiał zapobiegliwość Białego Myśliwego, zapewnił, że powinien być przykładem dla wszystkich.

- Każdy może wpaść w komę - dowodził. - Każdy może na swej drodze napotkać na węża. I co wtedy? Proszę mi odpowiedzieć, co wtedy?

Potem rozmawiali o jutrzejszym polowaniu.

- Spróbujemy podejść njale i impale - obiecywał Peter Shaw. - Dorodne zwierzęta, lecz niezwykle płochliwe. Kozły chronią stada, nadstawiają uszu, ale gubi je nadmierna dociekliwość.

- Niech pan opowie, jak się poluje na njale -poprosiła Ann.

116 Antylopa szuka myśliwego

-Trzeba się ukryć za krzakiem i pomachać kapeluszem. Zaintrygowany kozioł zrobi kilka kroków, pokręci z zaciekawieniem głową... Znowu ruch kapeluszem, kozioł podbiegnie jeszcze bliżej... I tak cierpliwie doprowadzamy go na odległość strzału. Najpierw jechali piaszczystym traktem. Potem szli tropem zwierzyny. Pierwszy szedł Biały Myśliwy, za nim Quinton uzbrojony w pięciostrażłowego mausera. Kaliber 30.06. Artur miał taką samą broń, ale w magazynku nie działała sprężyna i mógł wsunąć do zamka tylko jeden nabój.

- Spójrzcie na te kolczaste zarośla - wskazał Biały Myśliwy. - Oto jak busz obronił się przed zdeptującym go bydłem. Wielkie połacie pastwisk zarosły nieprzeniknioną ścianą, krowy nie mogły zgryźć tych badyli. Aż wreszcie farmer porzucił hodowlę, uciekł i przeklął tę ziemię. Od tego czasu rozmnożyły się kudu, w bajorach siedzą hipopotamy.

Ann stąpała niepewnie, wybierając łysiny pomiędzy ostrymi trawami. Na jej długich nogach pojawiły się czerwone linie i obrodziły kropelkami krwi. Zwłaszcza pod kolanami przybywało zadrapań, krzyżowały się lub biegły równolegle. Zwisająca gałąź zdarła jej kapelusz z głowy i wtedy dziewczyna oświadczyła, że chce już wracać.

- Nie umiesz się ubrać, nie wiesz, co trzeba włożyć. - Artur wskazał na jej zalotne majteczki.

Antylopa szuka myśliwego 117

- Nie ubiorę się jak do rozbijania min!

Ale Quinton nie widział nic niestosownego w jej stroju. Odprowadził ją do landrovera.

Wybrali się na to polowanie za późno. Zamilkły ptaki, które o świcie wypełniają busz rozgwarem. Słońce stanęło w zenicie, zrobiło się sucho i gorąco. Zwierzęta ułożyły się w kryjówkach, wróciły do mateczników zasypanych srebrnymi kolcami. Kilka razy nawinęła się na muszkę żyrafa, kilka kozłów, a nawet Biały Myśliwy. Odległości były zawsze za duże, wykluczające pewny strzał. Wracali jednak w doskonałych nastrojach, mimo że nikt nie pociągnął za spust.

- Jedni polują dla poroży, inni dla dziczyzny, a ja lubię towarzystwo myśliwych - powiedziała w drodze powrotnej Ann.

Nacisnęła na wieczko złożonej puderniczki, uważnie się sobie przyjrzała. A potem rozprowadziła na nosku zabezpieczający krem.

Czy wiesz coś o podniesieniu stóp procentowych? - Adams, jeden z partnerów, stanął przed stołem Artura. - Czy ktoś takie nonsensy planuje?

Artur zaprzeczył stanowczo. Na pewno jeszcze nie teraz, wskaźniki inflacji są bardzo pozytywne. Miał sporą wiedzę o ekonomii i w dodatku wyczuwał trendy.

- To mi wygląda na prawdziwą epidemię - skarżył się Adams. - Wczoraj przyszło dwóch

developerów. Prosili, abym wstrzymał prace nad ich projektami.

- Dlaczego?

- Dawali dosyć mętne wyjaśnienia.

- Co mówili?

- Obawiają się, że rynek jest już nasycony. Nie są pewni panującej koniunktury.

Podejrzewają, że rząd ją sztucznie napędza, i że czeka nas zastój albo krach.

- Prawdziwe powody mogą być zupełnie inne - orzekł Artur. - Proste i przyziemne.

To nie rynek. To brak kapitałów.

Adams odszedł, mamrocząc przekleństwa.

Artur uśmiechnął się, nie współczuł biedakowi. Niech zgłębia dręczącą go zagadkę sam. W przeszłości kilkakrotnie ponaglał Artura w robocie - a to zarzucał mu rozrzutność w materiałach, a to odnalazł błąd w obliczeniach kosztów. Teraz martwi się, prosi podwładnych o radę, na próżno czeka na iskrę bożą. Są dwa rodzaje silnych mężczyzn. Jedni wbiegają z hałasem i przewracają pracownikom papiery na biurkach, inni, jak Artur, z ukrycia i z całkowitym spokojem decydują o losach ludzi i firm.

I znowu na jego koncie pojawiła się okrągła suma. Z tą radosną nowiną pośpieszył do Ann.

Minęły dwa tygodnie wypełnione poszukiwaniem domu. Ann była w kontakcie z dwiema agencjami, posłańcy przynosili ulotki i broszury. Jej wymagania szybko rosły. Przede wszystkim była wyczulona na charakter miejsca. Chciała,

Antylopa szuka myśliwego

aby rosły tam stare drzewa. W przeciwnym razie dzielnica mogła wyglądać na nouveau riche albo gorzej, na zbudowaną wczoraj. Zastrzegła, aby w pobliżu nie było murzyńskich sklepików, postojów taksówek, punktów sprzedaży jedzenia na wynos. Z tych ludzkich czynności bierze się hałas i tłuste papiery. Szkoła? Niech będzie, byle nie za blisko. W czasie przerw dzieci wysilają gardła, a matki stwarzają korki i zatory. Pragnęła, aby ten zakup ucieszył ją dziś, a po latach okazał się trafną inwestycją.

W drodze eliminacji odrzucili osiem domów, zostały tylko dwa - jeden w Hyde Parku, drugi w Houghton. Każdy miał swoje zalety i możliwości rozwojowe. Willa w Hyde Parku była dwupiętrowa, co dawało poczucie bezpieczeństwa, ale i stwarzało pewne niewygody. Dom w Houghton był płaski i rozległy, a w końcu ogrodu rozciągał się zapuszczony kort. Artur zaproponował, aby spytali o radę Quintona. Dlaczego nie mieliby skorzystać z jego doświadczenia.

Dzwonił do niego dwa razy, lecz nie było odpowiedzi. Wieczorem usłyszał głos automatycznej sekretarki. Głos zawiadamiał, że żądany abonent jest chwilowo niedostępny. A kiedy zadzwonił nazajutrz, powiedziano mu, że ten numer w ogóle nie istnieje.

Artur odczekał jeszcze jeden dzień, a potem zdecydował się odwiedzić przyjaciela.

Skreślił w znajomą aleję, wszedł na marmurowe schody. Drzwi do biura stały otworem, we wnętrzu kręcili się robotnicy. Przesstawiali meble, wiercili

dziury w ścianach, budowali nowe przepierzenia. Pachniało świeżą farbą, ktoś

zmiatał z podłogi trociny. Zapytani, gdzie jest Quinton White, na chwilę przerwali roboty.

- Ja przestawiam ściany - odparł jeden z zatrudnionych. - A tamta grupa zrywa kable. Postanowił odczekać dwa, trzy dni, ta sytuacja z pewnością się wyjaśni. Na razie nie chciał trwożyć Ann, ale z zakupem domu się nie śpieszył.

- Nim podejmiemy wiążącą decyzję, musimy poznać cały wachlarz możliwości! - mówił.

Była pierwsza w nocy, gdy usłyszał chropawy głos. Na szczęście nie wyłączył telefonu. Mr Komo pytał, czy nie wybił Artura ze snu i czy jutro znajdzie dla niego chwilę czasu.

- Gdzie i kiedy? - zawołał Artur. - Czy pan wie, że Quinton zaginał? Nie wem, gdzie on mieszka! Nie mam jego prywatnego telefonu!

Komo miał czas tylko na krótką rozmowę.

- O trzeciej - zaskrzypiał. - Hilton.

Kiedy Artur wchodził do kawiarni Hilton, usłyszał w aparacie głos:

- Nie Hilton, ale News Cafe. Wpół do czwartej.

Przypomniał sobie, jak poprzednim razem daremnie gnał na lotnisko. Znowu te ich zbójckie tańce, ale cóż, musi się dostosować. Tym razem jednak jechał okreśną drogą, wąskimi ocienionymi ulicami. I słusznie, bo już po kwadransie nieznajomy podał mu zmieniony adres.

Antylopa szuka myśliwego 121

Artur prawie biegł przez westybulę. Pod palmą siedział Mr Komo ze srebrnym telefonem przy uchu. Obok w rozpiętym bananowym garniturze rozparł się sekretarz Ugo. Przywoływał kręcące się dzieci i rzucał im kawałki ciasta z rodzynkami. Artur wyrzucił z siebie wiadomość o zniknięciu Quintona. Wyliczył bezskuteczne telefony, opisał, jak go szukał w biurowym budynku. Mr Komo grubymi palcami przecierał powieki, patrzył z niedowierzaniem.

- Quinton? Jaki Quinton? O czym ty mówisz, człowieku? Napij się czegoś. Może wody?

Artur na chwilę umilkł. Patrzył nieprzytomnie.

- Czy ty znasz jakiegoś Quintona, Ugo? -przerwał milczenie Komo. - W tym roku, a może w ubiegłym, spotkałeś kogoś o takim imieniu?

Sekretarz wybałuszył oczy, kręcił przecząco głową. Mr Komo ciągnął z głębokim namysłem:

- My nie jesteśmy biurem poszukiwania wspólników. Nie zajmujemy się odnajdywaniem żon lub potomstwa. Zresztą, skoro już mówimy o dzieciach, najlepiej jeśli sobie radzą same.

- Quinton nie był dzieckiem. Miał czterdzieści lat. Wysoki blondyn. Chwalił się przyjaźnią z panem! Robiliście wspólne interesy!

Mr Komo tarł skronie. Z gardła dobył mu się cichy lament.

- Czym naraziłem się przodkom, że mnie tak prześladują? Czy ja kogoś zabiłem? Czy kogoś okradłem?

122 Antylopa szuka myśliwego

Kelner podał wodę, Artur wypił łączywie pół szklanki.

- No więc dobrze - rzekł. - Nie było Quintona, w ogóle taki nie istniał. I co dalej?

Pochylili się nad okrągłym stołem. Połączyła ich męska zażyłość. Mr Komo wyznał, że martwi się przyszłością wielu krajów. Same na siebie nałożyły pęta, bronią się przed inwestycjami. Wyliczył kilka narodów, którym grozi marazm, wspominał te, które szykują się do skoku. Potem wrócił do spraw osobistych.

- Lubię, kiedy sprawy toczą się gładko, każdy pracuje, każdy jeździ sportowym jaguarem. I tak widzę idealną sytuację. Gorzej, kiedy pojawiają się niesnaski, i brat chciałby skrzywdzić brata.

Sekretarz Ugo kiwnął głową, a potem zapytał Artura wprost:

- Artur, czy ty szanujesz Mr. Komo?

I korzystając z miłej atmosfery, nadał dyskusji praktyczny kształt.

- Ile masz na koncie? Pytam o żywą gotówkę, cash... Sumę gotową do szybkiego przelewu.

- Ja? - wybąkał Artur. - Chyba ze sto tysięcy... Może mniej... Najwyżej, ale to absolutna góra, sto dwadzieścia pięć.

- Zacytuję ci nasze przysłowie - ze smutkiem odpowiedział szef.

- To o antylopie, która szuka myśliwego?

- Inne... Też pouczające. „Jedno kłamstwo to cienka igła, ale dwa kłamstwa to wyostrzona maczeta!”.

- Kupujemy dom. A z tym są związane wydatki.

Antylopa szuka myśliwego 123

- Artur - zniżył głos Mr Komo. Przekrwione oczy patrzyły cierpliwie. - Ja twoją sytuację dobrze znam.

Wystukał numer i pograżył się w długiej rozmowie.

- Wybacz Artur, nie gniewaj się Ugo - powiedział po dwudziestu minutach. - Ale to był ktoś naprawdę ważny. Ktoś, kogo stać na odpowiedź: tak lub nie. Przeważnie jest to odpowiedź pozytywna.

A potem wciągnęli Artura w swoje tajne sprawy, dopuścili do konfidencji. Prawda jest taka, mówili, że ostatnio parszywie im szło. Daleko do katastrofy, nie łamią rąk, o to Artur może być spokojny. Ale szerzy się nieuczciwość. Kilku złych ludzi ostatnio zniknęło, skorzystali z posiadania dwóch paszportów.

- Fatalna sytuacja - współczuł Artur. - Chciałbym coś dla pana zrobić... Ale nie wiem jak.

- To bardzo proste. Znasz drogę do banku? Pójdiesz tam i porozmawiasz z dyrektorem. - A jeśli nie pójde? Na twarz Mr. Komo wystąpiły szare plamy.

- Mała świnió! - Podniósł ciężkie dłonie i przed nosem Artura splótł je w ciasną kratkę. - Tymi grubymi palcami cię zgnoję!

Artur wstał, lecz na drodze wyrósł mu nagle sekretarz Ugo. Na żebrach poczuł stalowe dotknięcie.

- On się tylko pomylił - tłumaczył sekretarz. - Mowy nie ma, żeby próbował nam zwać. On pana bardzo szanuje.

124 Antylopa szuka myśliwego

Wtedy podbródek Mr. Komo zaczął drgać. Wyglądało, jakby zaszczekał zębami, ale on tylko szczerze się śmiał, raptownie rozpogodzony.

- Hej, Ugo! - krzyknął. - Ty go lepiej znasz! Przecież ci płacę, żebyś był przytomny! Z sąsiednich stolików rzucano spojrzenia na trzech mężczyzn w doskonałych

humorach.

Mr Komo położył dłoń na ramieniu Artura. Mocny uścisk, który na obojczyku zostawi ślad.

- Artur - przemówił po ojcowsku. - Artur, chłopcze drogi... Przecież ty chcesz pracować z nami... Jak sobie poradzisz bez starego Komo? Sam przeciwko miastu? Młody i osamotniony?

A potem przyjacielsko dodał:

- Coś tu mam dla ciebie. Dawno ci to obiecałem.

Był to plik pogniecionych zdjęć w kopercie.

- Pamiętasz Ugondo? - spytał Mr Komo. - Jasne, że go znasz. Okazał się niezycziwy. Patrz na to zdjęcie. Ugondo bierze wiraż... Jakiej to marki wóz?

- Lancia.

- A tu Ugondo podaje napiwek. Jak myślisz, ilugwiazdkowy jest ten hotel?

- Cztero...

- Ugondo mieszkał w pięciogwiazdkowych pokojach... Osiedlił się na Florydzie.

- Na Florydzie?

-A tu masz jego ostatnie zdjęcie. Ugondo leży wygodnie na kanapie z białej skóry. Na stoliku stoją kieliszki i talerz z niedojedzonym krabem.

Antylopa szuka myśliwego 125

Ugondo wygląda, jakby smacznie spał, ale przypatrz się jego łysinie.

- Nic nie widzę.

- Ugondo ma dwie dziury w głowie.

Mr Komo porządkował zdjęcia, układał je jak talię kart. Na jednym jakiś człowiek chował się za krzakiem, na innym wesołe towarzystwo płynęło statkiem. Kucharz prezentował różowe homary, z boku stały wysmukłe dziewczyny.

- Artur - powiedział cicho Mr Komo - z nami twój potencjał będzie kwitł.

- A co z Ann? - Artur zapytał bezwiednie. Zdziwił się swojemu pytaniu, przecież te sprawy nie miały ze sobą najmniejszego związku.

- Ann jeździ wozem, od którego odpadają kółka - bolał Mr Komo. - Martwi mnie jego techniczny stan. Nie chcę, żeby dziewczyna rozbiła się o drzewo. Na szczęście są jeszcze tysiące innych Ann. Ale trzymaj sobie tę, póki to jest dla ciebie wygodne. Kiedy ci zbrzydnie, zawiadom nas. W Nigerii znajdziemy jej męża.

Artur siedział zagubiony, przeszedł przez pożogę. To prawda, że jego życie wpadło w przyspieszony rytm. Przychodził do biura i współczuł biedakom. Jedni śledzili rynki, zamartwiali się na śmierć, inni wbijali oczy w ekran komputera. Nie wiedzieli, co im przyniosą następne tygodnie, a on przechodził obok i dokładnie wiedział. I Ann otaczała go wielką tkliwością. A teraz jeszcze te zdjęcia Ugondo...

- Nie mogę wam oddać więcej niż połowę. Wymienili ukradkiem spojrzenia.

126 Antylopa szuka myśliwego

- Nie pożałujesz - pochwalił go szef. - Dobry uczynek zwraca się stokrotnie.

Minęła chwila, zanim Artur go usłyszał, a potem w całości przełknął jego słowa.

„Więc się zgodzili - nawiedziła go myśl. -Zgodzili się na połowę". Poprawił się w krześle, rozejrzał po sali. I poczuł do Mr. Komo wielką wdzięczność.

Nowa, nieoczekiwana kariera

Albert Wright stanął przed lustrem. Dobrze skrojona marynarka, ciemny krawat. Energiczna postawa, ani śladu tych ostatnich lat. Zamknął drzwi do mieszkania i przekręcił klucz.

- Przybrałam na wadze! - wykrzyknęła sąsiadka o imieniu Lily. Biegła wzdłuż korytarza, przez ramię miała przewieszoną modną torbę i komputer.

- Sprawdziłaś? Waga nie kłamie - odparł z zadowoleniem Albert. - Ale uważaj... Nie ma nic łatwiejszego, jak niechący zapuścić sobie biodra!

Dziewczyna była już przy windzie. Dwudzie-stotrzyletnia i zawsze wesoła, od roku walczyła ze zżerającym ją wirusem HIV. Przybranie na wadze oznaczało, że lekarstwa skutecznie działają.

- Nie dotykam pap\ - uspokoiła go.

Na parterze drzwi oznaczone numerem jeden zawsze były lekko uchylone. Wierny Smith, dawny sierżant, a obecnie gospodarz domu, jak zawsze warował u wejścia. Bronił posesji przed niepowołanymi osobami, wchodzących poddawał ostrym rygorom. Kiedy na pierwsze piętro wprowadziła się czarna rodzina, uspokajał starych lokatorów, że

128 Antylopa szuka myśliwego

w razie hałasów wykręci nowo przybyłym korki. A gdy lokal na parterze zajęła gromada Chińczyków, zapewnił, że ten budynek nie przekształci się w Chinatown. Irytowali go Hindusi... Zaczepiali Smitha w przejściu i na korytarzach, wydawali mu polecenia. Miał im za złe, że ich żony wylegują się w jedwabnej pościeli, a na schodach zostawiają papierki po lepkich cukierkach. „A ich muzyka... - mówił z ubolewaniem. - Wschodnia. Łącuch jęków... Przyprawia mężczyznę o niechciane erekcje". Alberta łączyła ze Smithem cicha przyjaźń. Obaj czuli się weteranami innych czasów.

Albert rzadko zmieniał trasę spacerów. W stronę Rosebanku szedł ulicą Tyrwitt.

Ulica prowadziła lekko w górę, drzewa jacarandy rzucały przyjemny cień, a chodnik pokryty był fioletowymi kwiatami. Na pierwszym skrzyżowaniu, pod lampą, siedział rozchełstany mężczyzna. Żebrak nie robił żadnego wysiłku, nie czynił najmniejszych starań... Czyżby spodziewał się, że ludzie wysiądą z samochodu i będą biec, aby mu wręczyć datek? Następny zirytował Alberta jeszcze bardziej. Wymachiwał czapką, giął się w pasie, rozdawał uniżone ukłony. To czapkowanie żenowało ludzi i nikt nie opuszczał szyby. Trzeci żebrak stał zupełnie nieruchomo. Był to biały mężczyzna, ubrany w wyszarzały garnitur. Wyglądał na dyrektora banku usuniętego z posady. Trzymał przed sobą napis: „Nie mam na prywatną szkołę dla dzieci”. Albert stanął przed nim twarzą w twarz i studio-

wał każdą literę napisu. Ze zdumieniem stwierdził, że zatrzymywały się tu porządne limuzyny. Kierowcy wyciągali wstydliwie zwinięte banknoty, a żebrak bez słowa je odbierał.

Wright skęcił w prawo, w ulicę Oxford. Rzucił okiem na kilka wystaw sklepowych, z przyjemnością zagłębił się w atmosferze piętrowego pasażu. W antykwariacie obejrzał płótna i fragmenty jakiejś teatralnej dekoracji. Galerię prowadził mąż znanej noblistki. Ludzie wchodzili, oglądali eksponaty, dużo tam było zawsze podejrzanej starzyzny. Rozczarowany, wszedł na schody, które wyprowadziły go na szeroki parking.

Starął się trzymać murów, chroniąc się pod markizami przed słońcem. Po przekątnej, przy ulicy Bolton, mieszkał stary doktor Szapiro. Kiedy nowocześni lekarze żądali za wizytę sto randów, on kanciastym pismem wypisywał cztery. W poważniejszych przypadkach, przy dłuższym leczeniu, żądał dwunastu randów i trzydziestu centów. Jego dom przeszkadzał w poszerzeniu ulicy, ale doktor sprzeciwiał się rozbiórce. Pisał umotywowane odwołania i kiedy wokół huczały maszyny, on ciągle podlewał kwiaty i przesadzał rośliny. Na koniec, gdy przed domem stanęła koparka, jego właściciel tego samego dnia zmarł.

Na rogu, przy wyjściu z pasażu, Albert wciągnął do płuc zapachy apteki.

Farmaceutka w białym fartuchu powitała go jak dobrego znajomego.

- Czy ma pani coś na lęk? - spytał.

-A czego pan się boi?

-Tego, że nie będę miał z czego żyć...

130 Antylopa szuka myśliwego

Wypielęgowanymi palcami kobieta przebiegła po pudełkach w szufladzie. Położyła przed nim lekarstwo.

- Proszę brać jedną albo dwie pastylki przed snem.

Albert Wright przez dwadzieścia lat był kierownikiem pracowni inżyniersko-projektowej. Finansowało ją zgrupowanie kopalń rud i węgla. Kraj obłożony był sankcjami uchwalonymi przez ONZ, a międzynarodowe spółki obliczyły, że nie opłaca się tych sankcji łamać. Zakup ciężkich maszyn był niezwykle utrudniony, zapadła więc decyzja o podjęciu własnej produkcji. Dla Alberta i jego ekipy był to okres niebywale twórczy. Jego pracownia projektowała urządzenia górnicze, wiertarki kruszące skalne ściany, transportery przerzucające urobek na odległość wielu kilometrów. Ich koparki były cenione wśród fachowców, ładowaczki chwytaly stalowymi zębami ładunek i przenosiły go do podstawionych wagonów.

Niezawodność, a przede wszystkim łatwość w obsłudze stanowiły o walorach tych urządzeń.

Bez narażania się na zarzut plagiatu inżynierowie Alberta ściągali pewne rozwiązania z zagranicznych wzorów. Obliczenia wytrzymałości i zmęczenia materiałów robili jednak sami. Podobnie było z mechaniką przenoszenia sił, a także ogólnym wyglądem maszyn.

Według ich projektów budowano prototypy urządzeń, które potem były sprawdzane w real-

nych warunkach pod ziemią. Zwykle zdawały egzamin i po niewielkich poprawkach wprowadzano je do seryjnej produkcji. Z tego okresu pozostał Albertowi biały kask, pochwalne dyplomy i świadomość, że jest ceniony wśród fachowców. Kask okazał się najtrwalszą pamiątką.

Otwarcie granic i zniesienie sankcji ekonomicznych wszyscy powitali z ulgą, ale czekała ich niespodzianka. Okazało się, że rozwiązania, nad którymi biedzili się od wielu lat, na świecie były już powszechnie znane. Co gorsza, wiele z nich wypadło z mody, uważano je za przestarzałe. Jednocześnie bez przeszkód napływała literatura techniczna i kolorowe broszury. Kraj przebiegali reprezentanci zagranicznych firm, ofiarowywali nowoczesne maszyny po cenach niższych od produkowanych na miejscu. Biuro projektowe Alberta jeszcze trzymało się przy życiu, lecz o jego dorobku już nikt nie pamiętał. Najpierw oszedł Har-rison, genialny matematyk, po nim złożył wymówienie Gerrit du Toit. Gerrit znał się na pompach, to dzięki niemu złoty piasek pomieszany z wodą płynął rurami z hałd do rafinerii.

Każdego miesiąca Albert żegnał odchodzących kolegów. Z niektórymi z nich przepracował dwadzieścia lat. Nie poddawał się jednak, szukał nowego pola dla pracowni, wierzył, że znajdzie lukratywną nische. Argumentował, że rozsądniej jest, choć może nie taniej, opierać produkcję na urządzeniach krajowych. Dowodził, że miejscowe rozwiązania zapewniają kopalnictwu bezpieczeństwo... bezpieczeństwo? - rechotali dyrektorzy

132

Antylopa szuka myśliwego

finansowi kopalń. - Mechanika to stara nauka, i nie będziemy odkrywać jej na nowo". Nowy dyrektor nazywał się Khosi Khumalo. Pracownię projektową przekształcił w ciało doradcze. Odtąd tylko przeglądali katalogi.

Albert otrzymał odprawę finansową, która powinna mu wystarczyć na długo. Zastanawiał się nad właściwą lokatą tych pieniędzy. Nie wierzył w pozostawianie znacznych sum na koncie, gdyż takie sumy czasami ginęły. A poza tym martwiła go inflacja. Uważnie śledził przeliczenia randa na dolara i doszedł do wniosku, że to, co odłożył, raptownie zaczęło topnieć. W sytuacji, gdy rządzą wyzwolone masy, wartość pieniądza musi się obniżyć.

Trafiały mu do rąk różne broszury, pojawili się specjaliści od szybkiego pomnażania dóbr. Elektronicznie przemieniali waluty w walory, trafnie przewidywali wachnięcia na giełdzie. Sugerowali, że zmiany kursów sterowane są zdalnie i tylko mała grupa operatorów coś wie na ten temat. Dlatego można się boleśnie pomylić. Cena ropy na przykład przez dziesiątki lat prawie nie wzrastała, ale wiadomo było, że któregoś dnia wystrzeli. Z miedzią stało się zupełnie odwrotnie - ze względu na zmniejszający się popyt miedź oczekuje powolna śmierć. A czy ktoś przewidział nagły skok funta?

Albert rozważył propozycję ulokowania swoich kapitałów w firmie Czysty Zysk. Odbył kilka narad z dyrektorami, dowiedział się, że z nieruchomości wyszli na miesiąc przed kra-

Nowa, nieoczekiwana kariera

133

chem, a z giełdy w lipcu, gdy kursy stały najwyżej. Pokazali mu tajne, jeszcze nieopublikowane wyniki - tylko jedna krzywa spadała, a były to ich koszty własne. Przyjechali po niego rolls-roycem, transakcji dobili w restauracji Pod Dębami. Było to miejsce bezpiecznie ulokowane za miastem, z dala od niedyskretnych spojrzeń.

Tydzień później Albert wybrał się, aby odwiedzić ich biura. Wszedł z założenia, że Czysty Zysk i on sam stali się po trosze współnikami w interesach. W głębi ogrodu stały dwa pałacyki, przed każdym biła fontanna. Greckie posągi i szerokie podjazdy swoim bogactwem obrażały jego naturę inżyniera. Ciężkie drzwi z ukłonem otworzył wyfraczony odźwierny, w wazonach stały kwiaty o długich łodygach. Zza biurka leniwie uniosła się hostessa i szepnęła coś na powitanie. „Godzina z nią musiałaby kosztować fortunę - myślał Albert. - Nie na obiad musiałbym ją zaprosić, lecz na własny jacht”. Zapach jej perfum pobudzał jego zmysły i działał na podświadomość. Hostessa zaproponowała likiery, wymieniając kilka egzotycznych nazw. Zapewniła, że urzędnicy mający na pieczy jego portfel są już powiadomieni. I wtedy Alberta przeszła myśl, że może zbyt się pośpieszył. Pod wpływem nagłego impulsu postanowił zabrać z tego miejsca swoje kapitały i przenieść je z powrotem do banku. Powiedział o tym urzędnikom. Roześmiali się. Zapewnili, że byłoby to nielegalne, podważałoby moralny

134 Antylopa szuka myśliwego

Nowa, nieoczekiwana kariera 135

zrąb, na jakim zbudowana jest ich firma. Pięć lat - tłumaczyli - i ani jednego dnia wcześniej. Rzecz jasna, zakładając, że nie będzie krachu.

Po dokonaniu dokładnych obliczeń i zmiany mieszkania na mniejsze Albert doszedł do wniosku, że ma z czego żyć przez trzy lata. W czwartym roku będzie musiał coś ze sobą zrobić. Co do jednego był przeświadczony - na pewno nie zamieszka w parku.

W miesiąc później Alicja wyjechała do Australii. Stwierdziła, że nie jest zbyt zabawne być żoną inżyniera. A cóż dopiero beczynnego inżyniera! Bez wahania dołączyła do grupy boat people. Tak Australijczycy nazywają imigrantów, którzy natychmiast po przybyciu kupują sobie jacht.

Został syn, wzięty prawnik, solidnie zakotwiczony w kraju przez ożenek. Albert miał z obojgiem doskonałe stosunki. Pilnował, żeby swoją osobą nie zagracać im salonu i pojawiał się u nich tylko wtedy, gdy był zaproszony. Czasami podejrzewał, że potrzebują jego rad, ale wstrzymywał się od ich udzielania. Rozmawiając przez telefon, nie przedłużał rozmów ponad miarę, nie czekał na wymowne milczenie. Składając im wizyty, zawsze przynosił upominki i już od wejścia chwalił ładnie urządzonego ogród. Tak było, aż do owego incydentu z łyżeczką.

Pewnego popołudnia trochę się u syna zasiedziało. Usłyszał trzaśnięcie drzwiami, ktoś mówił: „Czy on nie widzi, że już robi się ciemno?”.

Wybiegł, prawie się nie żegnając. Kilka dni później otrzymał list polecony. Dobrych wiadomości nikt tak nie wysyła. Po formule dziękczynnej za ostatnią wizytę oboje zwrócili mu uwagę, że wieczorem po jego wyjściu nie mogli doliczyć się jednej łyżeczki. Chodzi o srebrną łyżeczkę, z serwisu King George. Szukali nawet pod meblami - służąca miała tego dnia wychodne. W wyniku braku łyżeczki serwis jest zdekompletowany, a ponieważ zbierają srebro, odczuli tę stratę boleśnie. Proszą, aby na ich konto wpłacił niżej wymienioną sumę - obliczyli ją bardzo ostrożnie. Są młodzi, nie chcą życia zaczynać od strat. To zły omen. Na wyprzedażach w Londynie trafiają się pojedyncze sztuki, ale boją się, że będą zmuszeni zakupić dwanaście. Uzbrowili się w cierpliwość, na wpłatę dają mu termin dwutygodniowy. Proszą, aby

tego terminu nie przekroczył.

Kilka miesięcy później Albert zdjął z wieszaka ciemną marynarkę. W kieszeni wyczuł coś sztywnego. Najpierw znalazł plastikowy samochodzik wnuka, wyścigowy porche. Niewątpliwie odkryli jego brak, a ograbiony dzieciak wpadł w furję. Ale tę stratę przemilczeli. W drugiej kieszeni tkwiło coś podłużnego. Najpierw wyjął haftowaną serwetkę i z trudnością, bo była wczepiona w podszewkę, wyszarpnął łyżeczkę King George. Odkrobał przylepioną grudkę cukru, obracał zgrabny przedmiot w palcach. Wbił wzrok w rozłożone na stole łupy, zastanawiał się głośno:

- Dlaczego ja im to zabrałem?

136 Antylopa szuka myśliwego

Zapłacił za lek na lęk i opuścił aptekę. Dawniej nie było tu tak gorąco, rosły drzewa. Postanowił napić się kawy, przez chwilę posiedzieć w klimatyzowanym wnętrzu. Ale wejście do Tivoli zagroziło mu dwóch czarnych kelnerów.

- Nie ma miejsc - oznajmili.

- Widzę puste stoliki...

- Zarezerwowane.

Kelner John zwrócił się o radę do stojących opodal właścicieli, dwóch braci Portugalczyków. Przejęli tę kawiarnię od włoskiej rodziny, która po dwóch napadach wróciła do Cortiny. Bracia już nie byli imigrantami drobnego, piwnicznego chowu, ale wyrosli na tutejszym słońcu. Prężyli ramiona pod czarnymi koszulkami i zabraniali Albertowi wstępu.

- Prywatna uroczystość... - powtarzali. - Mamy komplet.

- Nie zapomnieli - powiedział do siebie Albert. - Mszczą się.

W zeszły piątek obiadował tu uroczyście i doszło do głośnej wymiany opinii. Można powiedzieć, że to on tę dyskusję wywołał, mówiąc o tym, co ludzi najbardziej boli - o polityce i o religii. Nie rozumieli, jak ożywcza może być taka różnica zdań, i jak bardzo powinni mu być wdzięczni. Teraz patrzył na Portugalczyków z niechęcią, zastanawiał się, jakich użyć gróźb. Żałował, że nie jest czarny, bo wygrałby proces o dyskryminację.

Pamiętał dokładnie. Zamówił butelkę czerwonego clareta. Po dwóch kieliszkach rozejrzał się

Nowa, nieoczekiwana kariera 137

po sali. Z lewej strony siedziała czarna rodzina - ojciec, matka i dwoje dzieci. Pod oknem, przy dwóch zestawionych stołach, ucztowała burska rodzina. Dwóch roślących chłopaków i jasno-blond córka. Rodzice wykorzystali odświętną sytuację dla udzielenia młodzieży lekcji zachowania.

- Kto spadnie z krzesła, ma zostać na podłodze - uczyli. - Widać jego miejsce jest pod stołem.

Potem długo mówili o szacunku dla chleba.

- Pożywienie jest darem bożym i nie należy go marnować. Nakładajcie na talerz tylko tyle spaghetti, ile na pewno dacie radę zjeść.

Albert z zadowoleniem patrzył na czarną rodzinę. Ojciec, bardzo ciemna kompleksja, każdego dnia musi się legitymować, udowadniać, że nie przyjechał z Konga lub Ugandy. Matka, oceniał, z pewnością mieszana, wskazywała na to jasna cera i obfite

włosy spięte wstążką. Za to potomstwo naprawdę udane! Albert zwrócił się do rodziców.

- Doskonale dobraliście dla dzieci kolor skóry. Ani za jasny, ani zbyt ciemny. Z tym odcieniem z łatwością zrobią karierę! - Chwalił zwłaszcza pięcioletnią dziewczynkę:

- Nawet lepiej, że jest trochę jaśniejsza, byle tylko nie wyglądała na białą.

Matka źle przyjęła pochwały Alberta. Spojrzała na niego z wyraźną niechęcią.

Wydała polecenie mężowi:

- Powiedz temu człowiekowi, że nie dobieraliśmy dla dzieci kolorów... Zapytaj go, czego od nas chce.

138 Antylopa szuka myśliwego

Nowa, nieoczekiwana kariera 139

Do rozmowy wmieszała się burska rodzina. Masywny ojciec poruszył się za stołem.

Po przyjacielsku doradził Albertowi:

- Niech pan zostawi tych ludzi w spokoju. Siedzą i jedzą pizzę, gentleman wypił jedno piwo. Ja też obserwuję ich od pewnego czasu i muszę powiedzieć, że zachowują się correct.

Czasami człowieka ogarnia chęć powiedzenia prawdy. Bez osłonek. Nabiera wtedy niezbitę pewności, że ma rację. Mówi sobie: wykrzyczę wszystko, a potem niech mnie wieszają! Żona niech odejdzie, płuca niech wykrztuszę, ruina finansowa będzie tylko pożądaną zmianą! Taki nastrój ogarnął tego wieczora Alberta. Zaczął od złożenia rodzinie burskiej gratulacji.

- Macie piękną germańską cechę, zdolność budowania - chwalił. - Wystarczy spojrzeć na miasta, koleje... Godne podziwu są drogi i przemysł wydobywczy. Wzniesliście nowoczesne szpitale, na uniwersytetach uczą się tysiące studentów.

Zachodnia cywilizacja zapuściła tu korzenie i oby już nie dało się jej wyrwać.

Wokół Alberta stworzyła się przyjazna atmosfera. Już dawno nikt tak do Burów nie przemawiał i słuchano go z rosnącym napięciem.

- A zaczęło się to od nadania bożego. To z Jego ręki dostaliście ten kraj. Stało się to szesnastego grudnia 1838 roku w miejscowości Blood River. Tego dnia w bitwie zginęło trzy tysiące Zulusów i ani jeden Bur. Trudno o wyraźniejszy znak.

Zawarliście ze Stwórcą umowę, palec Opatrzności spoczął na waszym czole. W 1900 roku Anglicy do-

prowadzili was do ostatecznej rozpaczy. Spalili domy i wybili bydło. Wasze kobiety umierały w obozach. „Biali białym zgotowali ten los” - powiedzieliście z goryczą i coś w was się wtedy odmieniło.

To krótkie przypomnienie faktów z przeszłości pokazało rozmówcom, że Albert zna ich historię. Nie zarzuca mu ignorancji. Z powagą słuchali o ważnych dla nich wydarzeniach, dziwiąc się pewnie, że ktoś ich rozumie. Albert ciągnął:

- Ale na nieszczęście na tej ziemi pojawili się też inni ludzie... Nie wiadomo, skąd się wzięli, teoretycznie nie powinno ich tu być. Przywędrowali z północy? Wyskoczyli spod ziemi? Tak czy inaczej, stali się większością.

- Zapytaj go, czego on od nas chce. Dlaczego nie może się uspokoić? - Matka czarnej rodziny znowu natarła na męża. - I w czym mu przeszkadzają nasze dzieci?

- A potem już wiemy, co się stało... - Claret dawał Albertowi pełną jasność myśli. -

Poddaliście się! Brawo! To była przepiękna ceremonia! Łopoczące flagi, przelot

samolotów nad głowami. Generałowie zaprzysięgają wierność nowym władzom, wystawiają piersi po medale. Z dumnego narodu zgodziliście się zostać nieznaczną mniejszością. Klaszcze wam cały cywilizowany świat!

Teraz już większość gości zaprzestała rozmów i zwróciła się w stronę mówiącego. Liczba słuchaczy wciąż się powiększała, nawet kelnerzy zatrzymali się w pół drogi.

- Jest wielka mądrość w poddawaniu się i wy ją umiecie praktykować!

140 Antylopa szuka myśliwego

- To nie tak było! To nieprawda! To, co mówisz, jest kłamstwem! - wykrzyknęła matka burskiej rodziny. - Mój najstarszy syn zginął na froncie w Angoli. Brat męża pracował w policji. Nie można nam zarzucić, żeśmy oddali kraj. Ugodzić się to było jedyne wyjście!

Nie umiała powstrzymać łez. Córka objęła ją ramieniem i szeptała coś pocieszającego. Ojciec patrzył przed siebie martwo. Zbyt wiele myślał o tych nabrzmiałych sprawach, aby znaleźć teraz gotową odpowiedź.

- Ależ oczywiście! Nie było innego wyjścia. Ja was nie krytykuję, lecz pochwalam - ciągnął Albert. - Gdyby wszyscy tak się poddawali jak wy, nie byłoby na świecie wojen!

Do stolika zbliżyło się dwóch właścicieli. Biły od nich zapachy wonnych potraw. Odgradzili Alberta od reszty biesiadników.

- Zostawiliście kuchnię na łasce pomywaczy? - powitał ich. - Chcecie zapytać, czy mi smakuje spaghetti?

- Jeśli nie zamówi pan kawy, to przystawki i wino będą gratis - oznajmił jeden z braci. Drugi rzucił do kelnerów: - Ten pan już skończył posiłek i chce wyjść. John, zbierz z tego stolika talerze!

- Kawiarnia jest miejscem, gdzie się wymienia opinie. - Albert bronił swoich praw. - Ale wy o tym jeszcze nie wiecie! I nigdy się nie nauczycie!

Nowa, nieoczekiwana kariera 141

Rozmyślał o tych wydarzeniach sprzed tygodnia. Wciąż mu je pamiętają. Ruszył w drogę powrotną, przeciskając się między murem a straganami z curio*. Dawniej chodnik nie był taki wąski, trzy osoby mogły wygodnie iść obok siebie. Teraz co chwilę musiał zbaczać z drogi, wciskać się w mur lub jedną stopą wchodzić pomiędzy rozłożone figurki.

Stado nosorożców atakowało chodnik, słonie zajęły pół jezdni. Lalki patrzyły oczami z drucianych spirali, niemowlęta przytroczone bordową materią spały na plecach matek. W spódniczkach zapiętych na agrafki stały rzędami panny na wydaniu. Widać było, że są niezamężne, gdyż miały odkryte biusty. Dalej wojownicy z dzidami, a za nimi maski... Wyszczерzone trójkątnie zęby na wzór piły, z czoła tancerza wyrastał uniesiony miecz. Mali chłopcy siedzieli na krawężniku i polerowali figurki, nad rynsztokiem zwisały pupki wysadzanych dzieci.

Maski przywieziono tu z Konga lub innych, jeszcze bardziej oddalonych krajów.

Podróżnik znalazł je w dżungli, do połowy zagrzebane w ziemi... Ale tak naprawdę to ich twórcy siedzieli w małych mieszkankach, w wysokościowcach na Hillbrow.

Zawieszeni nad nieznanym im miastem, codziennie musieli wyrzeźbić dwie. Nucili pieśni o krokodylach, czarnej rzece i nocnych oparach. Dostarczano im stare drewno,

* Curio - pamiątki, przedmioty do kolekcjonowania (z ang. curiosity) (przypr. red.).

trzcinę i mosiężny drut, a oni za dobre traktowanie odwodzili się usilną pracą. Rażące słońce źle działało na słoczonych w pokoiku artystów. W ich sztuce pojawiały się złowrogie akcenty. W weselnych ornamentach dostrzeżono znaki czarownika, a maski, które miały przerażać, rozśmieszały. Zdarzało się, że rzeźbiarze rzucali narzędzia i schodzili dwadzieścia pięter w dół. Przy wyjściu na ulicę chwytali ich policja.

Albert posuwał się z coraz większą trudnością. Rozłożone stragany zagradzały mu drogę. Miał uczucie, jakby te maski i stojące na chodniku zwierzęta zabierały mu cały tlen. Zawirowały gałęzie i żółte parasole, przeraził się, że traci wzrok. Wiosłował ramionami w powietrzu, wiedział, że jest mu potrzebne oparcie. Poczł na ramieniu czyjąś dłoń, prowadzono go, usłyszał ochrypy głos:

- Usiądź.

Znalazł miejsce na niskim stołku, jednym z tych, które były wystawione na sprzedaż. Położył głowę na kolanach, czekał na silniejszy dopływ krwi. „Przekłete zastawki - myślał. - Jedna się nie domyka, a co z drugą?”. Kiedy prawa zatrzymuje się w połowie wachnięcia, a lewej nie chce się biec dalej, Albert widzi mgłę przed oczami i musi przez chwilę odpocząć.

Pierwszy raz obejrzał je na ekranie w General Hospital. Najpierw szedł długim żółtym korytarzem, szukał znajomej tabliczki na drzwiach. Piękna Polka, doktor Margaret, poleciła mu położyć się na stole. Odpowiadał na szczegółowe pytania, zachowywał się jak posłuszny uczeń.

Na sali panował półmrok, doktor przyłożyła mu do żeber zimną plastikową gałkę. Po ekranie medycznego komputera przebiegły pęki linii, a potem pojawiły się gąbczaste ciała. Doktor poruszyła gałką dla uzyskania lepszego obrazu i kazała Albertowi spojrzeć na dwie skaczące jaszczurki. Wyglądało, jakby były przywiązane za ogony i wykonywały monotonne ruchy z wielką regularnością. Tylko jedna chwilami jakby się wahała..., lecz po zastanowieniu się i po nabraniu sił puszczała się w dalszą drogę. W tym czasie z głośnika dochodziły chłupoty, przeciągłe ssania i piski. Albert poprosił Margaret, żeby wyłączyła te odgłosy. Z szyi zwisał jej srebrny łańcuszek, była krótko ostrzyżona. Pochylona, pobierała wymiary jego komór, lewej i prawej, pustej i wypełnionej. „Istnieje obawa, że serce się panu powiększy” - orzekła. „O kogo?” - głupio zażartował. Przedstawiła mu różne metody leczenia i konsekwencje lekkomyślnych zaniedbań. Zrozumiał, że kiedy poziom płynów w obu komorach się wyrówna, ogarnie go poczucie miłego spokoju.

- Ile to kosztuje? - usłyszał nad sobą głos.

Z wysiłkiem podniósł głowę i zobaczył przed sobą parę różowych szortów.

Holenderska turystka potrząsała drewnianą żyrafą.

- Pytam już trzeci raz...

Albert dojrzał nalepkę z ceną, zamajaczyła mu niewyraźnie cyfra siedem.

- Siedemdziesiąt - rzucił.

144 Antylopa szuka myśliwego

- Biorę - zdecydowała turystka.

-1 ja też! - powiedziała jej przyjaciółka.

Albert ujrzał przed sobą zielone szorty i palce szukające pieniędzy w portmonetce. Wkrótce zgromadził się przed nim tłum turystów, dopytywali się o pochodzenie tych zwierząt. Odparł, że rzeźbią je plemienni artyści, natchnienie czerpiąc z natury. Większości podobały się żyrafy, zwłaszcza wysokie, blisko metrowe, ale brano też słonie i nosorożce wytoczone z czerwonego drewna. Dobrze sprzedawały się również statuetki kobiet, ich wyolbrzymione kształty miały podkreślać, do czego zasadniczo są stworzone. Wyciągały się do Alberta dłonie z banknotami o wysokich nominałach, klienci domagali się reszty. On nie śmiał dotknąć nie swoich pieniędzy.

- Bierz - usłyszał za sobą ostry syk. Odwrócił się, siedziała za nim duża Zuluska z szeroko rozstawionymi nogami. Z szyi spływały jej sznury koralu, przedstawiła się jako Mama-Zola.

- Bierz - nalegała.

Albert czuł szum w głowie i było mu obojętne, co robi. Chciał jeszcze chwilę odpocząć, a potem uciec z tej handlowej matni. Pozwolili mu dojść do siebie, ofiarowali drewniany stółek. Zajęli się nim. Tymczasem turystów ciągle przybywało, przyjechał drugi autobus. Zwracali się do Alberta, radząc się i pytając o ceny. Niespodziewanie stał się znawcą rzeźby, fachowo mówił o naszyjnikach Ndebele, wyjaśniał, co oznaczają

Nowa, nieoczekiwana kariera

145

pewne wzory. Mama-Zola rozmieniała banknoty na drobne, raz po raz wyjmując mu z rąk obfity utarg.

- Ja tylko pomagam temu panu - uśmiechała się do kupujących.

Owijala zakupy w gazetę, wkładała je do plastikowych toreb. Na jednych widniał napis Ex-clusive Bookshop, na innych Air France.

Turyści podążyli w kierunku czekającego na nich autobusu. Albert też się podniósł, czuł się lepiej.

- Napijesz się herbaty? - usłyszał. Mama-Zola odchyliła zasłonę z żółtego plastiku.

Pomiędzy straganem a krawężnikiem stał namiot, służący za rodzaj salonu. Albert zobaczył dwa krzesła, prymus z czajnikiem, na stoliku kempingowym stały filiżanki przykryte ściereczką.

- Nie trzeba, żeby nas oglądał cały świat - powiedziała Mama-Zola, gdy już usiedli w fotelach. - Ludzie są wszystkiego ciekawi. - I dalej ciągnęła tonem pochwały. -

Umiesz sprzedawać... Zorientowałaś się, ile mogą zapłacić i zamiast siedemnaście, powiedziałaś siedemdziesiąt. Instynkt cię nie zawiódł.

Nie protestował. Herbata była słodka i dodawała mu sił.

- Kiedy biali widzą eleganckiego sprzedawcę, to mu wierzą. On im mówi, ile co kosztuje, nie kłóca się, przyjmują, że taka jest cena. Ze mną by się targowali o ostami grosz. Wydali na samolot, na drogie hotele i chcą sobie odbić na pamiątkach.

146

Antylopa szuka myśliwego

- Czy wszystkie figurki kosztują tyle samo?

- Te z brzegu są trochę tańsze. Jedne są krzywe, inne niedokończone. Trzeba być prawdziwym artystą, żeby produkować wszystkie takie same.

Miejsce było zaciszne. Z czterech stron chroniły ich zwisające arkusze plastiku.

Usłyszał dociekliwe pytanie.

- Kobiety masz?

- W innym kraju.
- Pisze do ciebie?
- Ona uważa, że wysyłanie pocztówek jest banalne.

Mama-Zola ucieszyła się, gdy powiedział, że ma syna, a zwłaszcza że ten syn jest dobrze ożeniony. Z kobietą, która ma zawód, lecz pilnuje gospodarstwa.

- A dlaczego ty nie siedzisz w domu? I nie karmisz psa? Co cię tak nosi po ulicach? Albert chciał odejść. Miał już dosyć tego przesłuchania, ale pojął, że ta rozmowa nie jest tylko cczą wymianą zdań. Może mieć ukryte znaczenie. Mama-Zola dociekała dalej:

- Obserwuję cię... Idziesz zdecydowanym krokiem, lecz bez celu.
- Lubię spacerować. Chodzę tak dla zdrowia.
- Dlaczego nie wykorzystasz swego czasu pożytecznie?

Uderzyła w sedno i poczuł się bezbronny.

- Rozwazałem już kilka propozycji... Mam także możliwości pracy z domu.
- Kariera w handlu może być dla ciebie dobra... I długofalowa. Zwłaszcza że masz talent. Jak już

Nowa, nieoczekiwana kariera 147

wspomniałam, biali lubią kupować u białych. Inaczej podejrzewają, że maski nie są autentyczne, a każda figurka ma ukryty błąd. Ale najbardziej boją się przepłacić.

Porównują ceny, dwa razy wracają...

Znowu pili herbatę w milczeniu. Oboje mieli dzisiaj czas. Mama-Zola, kobieta ciężka i stateczna, obciągnęła spódnice i poprawiła brązowy turban na głowie.

- Handel sztuką nie przynosi wielkich zysków - uprzedziła.
- Na pewno nie takie, jak sprzedawanie telefonów komórkowych!
- Ale pozwala na zatrudnienie człowieka... Oczywiście, jeżeli trafi się ktoś chętny... -1 solidny - uzupełnił Albert. - Na przykład ja bardzo cenię punktualność.

Kiedy odchodził, było już postanowione, że stawi się tu jutro o dziewiątej. W nowej pracy jego zdolności inżynierskie mało się przydadzą, raczej należało myśleć o zmianie zawodu. Podciągnie się nieco ze sztuki zuluskiej, bo o kulturze Ndebele sporo już wie.

Wracając do domu, zuchwale spojrzął na Tivo-li. Większość stolików jak zwykle była niezajęta. Przyjdzie tu jutro i usiądzie na tarasie. Skinie na kelnerów. Gdy zjawią się właściciele w czerwonych fartuchach i zaczną mu czynić wstręty lub robić uwagi, ostro odeśle ich do kuchni. Ma już stałą posadę, chętnie im powie, co tak naprawdę o nich myśli.

Moro i mistrz

Sala sądowa była wyłożona rzeźbionym drewnem. Witraże przedstawiały różne czynności związane z rolnictwem - oranie wołami, strzyżenie owiec, przepędzanie stada krów przez rzekę. Grube szkło nie przepuszczało słońca i już od rana trzeba było zapalać lampy.

Posiedzeniu przewodniczył sędzia Smith, prawnik z długim doświadczeniem. W ubiegłym wieku jego ojciec prowadził tu kancelarię notarialną. Lewa powieka opadała Smithowi do połowy oka, wydawać by się więc mogło, że drzemie, ale było to tylko wrażenie. Doskonale umiał się pastwić nad świadkami i udowadniać im, że „sami sobie przeczą”. Na niesfornych adwokatów nakładał kary, i zdarzyło się, że

kazał jednego aresztować.

- Nazwisko oskarżonego?

Z ławki uniósł się młody człowiek ubrany z wielką starannością. Miał na sobie ciemny krawat, tweedową marynarkę. Zwrócił głowę w stronę pytającego.

- Moro - rzekł. - Tytuły?

- Jakie tytuły?

- Profesor? Doktor? - Sędzia Smith uderzał

Moro i mistrz

149

ołówkiem o papiery. - Czy mam zapisać Jego Książęca Mość?

- Profesor - zdecydował podsądny po namyśle. - Albo nie... Lepiej, jeśli pan sędzia zapisze: doktor.

Podniósł się oskarżyciel.

- Doktor Moro oskarżony jest o niedokonanie cudu, przez co sprawił zawód publiczności...

Sędzia obudził się z letargu.

- Proszę kontynuować - zachęcił oskarżyciela. Jego ton zdradzał zniecierpliwienie.

- ...co jest przestępstwem z paragrafu dziesiątego, a także dwudziestego pierwszego punkt B.

Miasteczko, prawdopodobnie ze względu na swe oddalenie, chętnie przyjmowało przybyszów. Łatwo było się tu osiedlić, kupić farmę i zająć się hodowlą koni lub owiec. Miejscowym nie wadziły zagraniczne tytuły, nie zazdrościli ich ani nie sprawdzali. Przyjmowali nowych z dobroduszą-nością.

Przy głównym placu stały cztery budynki z żółtego ciosanego kamienia. Zbór protestancki z dwiema wieżami, urząd miejski, sąd w stylu holenderskim i biblioteka służąca czasami za teatr.

Niektórzy z przybyłych zostawali tu przez wiele miesięcy. I tak, odkrywca penicyliny spędził lato w miejscowym hotelu, opowiadając, jakie trudności robiono mu w Anglii. Słynna śpiewaczka, schroniwszy się tu przed zazdrosnymi rywalkami, prosiła, aby nie doręczać jej żadnych listów. W latach pięćdziesiątych rozniosła się wieść, że

150 Antylopa szuka myśliwego

Moro i mistrz

151

na jednej z okolicznych farm zamieszkał wybitny wojskowy. Zachęcony czystym powietrzem i źródlaną wodą, osiadł tu, aby dokończyć pamiętniki. Był w randze Rottenjuhrera. Wieczorami opowiadał w barze o swych sukcesach bitewnych, miał wspaniałą pamięć do liczb. Wspominał, ilu zastrzelił więźniów, a ilu żołnierzy, wiedział, co się powinno robić z ludnością cywilną. Farmerzy słuchali go uprzejmie, nie kwestionowali cyfr. Pytali o dane techniczne karabinów maszynowych, o zasięg i kaliber krótkiej broni. Niespodziewanie farmera Browna zaciekawił pewien szczegół: „Jakiego oni byli koloru skóry?”. „Kto?”. „Ci, do których strzelałeś” - „Nie wiecie? - zdumiał się Rottenjuhrer. - Biali”. „Więc jaki był w tym wszystkim sens?” - zdziwił się farmer. Następnego dnia policjant doręczył gościowi nakaz opuszczenia miasta.

- Czy niedokonanie cudu może być karalne? - podniósł się obrońca. I dowodził: - Chodzi o sprawę poważniejszą niż jeden skazany. Istnieje obawa stworzenia

precedensu, który raz wpisany do literatury może się stać wzorem orzecznictwa.

- Precedens? - mruknął sędzia Smith. - Literatura?

Oskarżyciel nie mógł pozwolić, aby debata zesza na teorię prawa. Wskazał na mężczyznę siedzącego na drewnianej ławce. Młody człowiek, czując na sobie spojrzenia zebranych, przybrał minę sprowadzonego tu przez pomyłkę.

- Pod sądny zapewnił, że przywoła zmarłych i że krewni będą mogli zadawać im pytania. Oskarżony zawiódł zebraną publiczność. Naraził ją na straty moralne. Czy są na sali pokrzywdzone osoby?

Podniosło się co najmniej trzydzieści rąk. Większość powiewała biletami, który kosztował sto randów. Wzmocniony publicznym poparciem, oskarżyciel ruszył do ataku.

- Udowodnimy, że podsądny celowo nie dokonał cudu. Nie przypadkowo, ale ze złej woli!

Obrońca odwołał się do rozsądku zebranych. Cuda się zdarzają, ale nie jak w cyrku. Potrzebna jest sprzyjająca atmosfera, czasami odpowiednia konstelacja gwiazd.

- Ten człowiek przechadzał się po scenie, reflektory były na niego skierowane... - mówił podniesionym głosem oskarżyciel - ...zatrzymywał się przed ofiarami i mierzył je wzrokiem. Wypytał o imiona, powiązania rodzinne. I kiedy ktoś w dobrej wierze w taką rozmowę się wdał...

Sala kończyła się szerokimi drzwiami. Nagle oba skrzydła tych drzwi otworzyły się z hukami. Ukazał się w nich wysoki mężczyzna w wieku około pięćdziesięciu lat. Miał postawę aktora grającego historyczne role. Z łatwością mógłby się wcielić w biskupa, proroka albo nawet okrutnego władcę. Przez chwilę stał nieruchomo. Gdy dostrzegł Moro, uśmiechnął się pobłażliwie. Z kolei gdy podsądny poznał wchodzącego, wyraźnie wstąpiła weń nadzieja.

152 Antylopa szuka myśliwego

Tydzień temu na mieście pojawiły się kolorowe afisze. Anonsowały wieczór spirytualny na bardzo wysokim poziomie. Rozlepiono je przed Radą Miejską, na drzwiach hinduskich sklepów i na tablicy ogłoszeniowej przed teatrem. Zanim nastąpiły polityczne zmiany, pastor Henrik Le Roux po prostu kazałby te afisze podrzeć. Było tam napisane, że jakiś doktor ułatwia kontakty ze zmarłymi i twierdzi, że na dobrą sprawę oni wcale nie umarli, a tylko przestąpili Próg. Przeszli Próg... Pastor patrzył na te afisze ze zgrozą, ale zerwanie ich mogłoby się okazać politycznym błędem. Żadna grupa nie może narzucać innej swoich wierzeń, w harmonii muszą współżyć ludzie wielu kultur. Pastor Le Roux uznawał te zasady i przyjął postawę nieinterwencji.

Afisze informowały, że w sobotę w sali teatralnej odbędzie się spotkanie z doktorem Moro, znanym teologiem i spirytualistą. Pisano, że potrafi on skutecznie nawiązać nici między osobami, które już przestąpiły Próg, i ich bliskimi, którzy ciągle pozostają w tyle. Doktor widzi siebie nie jako osobę duchowną, ale raczej jako inżyniera dusz. Jest specjalistą, który umie powiązać zerwane druciki.

Kilku obywateli zwróciło się do pastora Le Roux o niezależną opinię. Możliwość rozmowy z niedawno zmarłymi wszystkim wydała się dosyć nęcąca. Z drugiej strony, nie chcieli tracić pieniędzy na darmo ani popełnić jakiegoś teologicznego błędu.

Pastor miał trudności z udzieleniem

jednoznacznej odpowiedzi. Wspomnił o sądzie ostatecznym i o powszechnym zmartwychwstaniu jako właściwych okazjach, żeby zobaczyć się z bliskimi. Ale obecnie, dodał, we wszystkich dziedzinach obserwujemy znaczne przyspieszenie. Kto wie, może objęło ono także świat duchowy?

W sobotę przed salą teatralną ustawił się spory tłum.

Wchodzący na salę od razu zauważyli zmiany. Zniknął podział na widownię i scenę, na środku stała okrągła estrada, a wkoło niej koncentrycznie ustawiono krzesła.

Doktor Moro młodzieńczym krokiem wbiegł na podium. Miał na sobie niebieski sweter. Jasne włosy zaczesał do tyłu. Dwa razy obszedł estradę, nim zatrzymał się przed dwiema kobietami siedzącymi w pierwszym rzędzie. Obie były ubrane w czarne suknie, tylko u jednej przy szyi jaśniała chusteczka lub broszka.

- Czy imię zaczynające się na jot nic pani nie mówi? - zapytał. - Ktoś o tym imieniu krąży wciąż koło mnie... Jest to osoba, która niedawno przekroczyła Próg.

Zadziwiająca, jak silna jest obecność tej osoby...

- Jakiej osoby? - zapytała młodsza kobieta.

- Pierwszą literą jej imienia jest jot... To może być John albo Johann...

- Niemożliwe. Nie znamy żadnego Johna - rzuciła starsza kobieta niechętnie. - Już od początku coś tu się nie zgadza.

154 Antylopa szuka myśliwego

- W takim razie to musi być Joachim!

- Joachim? On siedzi w piekle! A stamtąd nie wypuszczają na przepustki!

Imię Joachima obudziło wśród zebranych poruszenie.

- Zaraz przyjdzie mój mąż i cię zastrzeli - obiecała Moro kobieta w czerwonej narzutce. - Miarkuj sobie moje słowa. Nie będziesz nam tu groził Joachimem!

- To prawda. Przywoływanie Joachima nas obraża! - oświadczył człowiek o wyglądzie urzędnika.

- Gdzie on jest? - wołano z różnych miejsc na sali. - Niech się pokaże! Z przyjemnością doko-piemy duchowi!

Moro dwa razy okrążył scenę, czuł, że tonie. Z tymi ludźmi nie sposób nawiązać kontaktu. Czy przełamie ich postawy obronne?

Zatrzymał się przed grupą osób dotychczas siedzących spokojnie. Wzniósł ręce, jak to się robi przed wyjawieniem jakichś ważnych prawd.

- Cyfra dziewięć! Uporczywie powtarza mi ją jakiś duch... Cyfra dziewięć ma tutaj szczególne znaczenie. Coś się stało dziewiątego albo o dziewiątej godzinie? W którym życiu cyfra dziewięć jest szczególnie ważna?

Siedzący krzywili się i zachodzili w głowę. Uczciwie wyteżali pamięć.

- Dziewięć? To już raczej siedem... Chociaż siedem też nam się z niczym nie kojarzy.

W ostatnim rzędzie poderwał się siwy mężczyzna.

Moro i mistrz

155

- Czy mogę zadać pytanie?

- Oczywiście. Proszę pytać. Do kogo jest to pytanie skierowane?

- Do mojej żony.

- Domyślałam się, że pana małżonka przestąpiła Próg?

- Alejak! Galopem!
- Kiedy to się stało?
- Dwa miesiące temu.
- Jak miała na imię?
- Julia.

Moro przysłonił oczy dłonią.

- Jest wśród nas Julia - oznajmił po chwili. - Mówi mi, że przyzwyczała się do nowego miejsca. Głos ma bardzo ciepły, melodyjny...
- Coś musi mieć w sobie ładnego - zadrwił mąż.
- O co chce pan zapytać Julię? Czy dzielą was niewyjaśnione sprawy?
- Na tydzień przed przestąpieniem Progu miała jeszcze przy sobie klucz do sejfu... Chciałem zapytać, gdzie go zostawiła?

Na to pytanie Moro miał gotową odpowiedź. Jeszcze przez chwilę prowadził z Julią cichy dialog, potem skinął głową i triumfalnie oznajmił:

- Klucz leży w komodzie... W górnej szufladzie, z prawej strony... Przykryty jest papierami!
- Jeśli tak, to ktoś z was kłamie! - wrzasnął urażony wdowiec. - Albo nieboszczka, albo ty! Przetrzęsnałem komodę dwa razy! Nigdy nie było tam żadnych papierów, tylko prześcieradła i ręczniki!

156 Antylopa szuka myśliwego

Moro i mistrz

157

Każdego człowieka po niepowodzeniach ogarnąć może zniechęcenie i żal. Moro okrążył scenę twardym krokiem, stanął ze skrzyżowanymi ramionami. Widownia nie ofiarowywała najmniejszej pomocy. Czego spodziewa się ta nędzna zgraja? Czy są kompletnie duchoodporni?

Opisał zabawne słabostki Andre. Odpowiedziała mu martwa cisza. Pochwalił Ann za jej pracę społeczną. Ktoś krzyknął, że takiej nie było... Widownia już dostrzegła jego słabość, na scenę posypały się ogryzki. Wtedy odwołał się do uczuć prostych.

Zaproponował obecnej na sali Marii rozmowę z narzeczonym Ryszardem. Tragiczny wypadek spowodował, że ich związek nie obrodził dziatwą, ale teraz przyszedł czas na rozmowę. Zapanowała cisza, mógł przypuszczać, że trafił na właściwy klawisz.

„Budzi się oddźwięk” - pomyślał z nadzieją i czekał na pierwszy głos. Niestety, pomylił imiona rozmówców, i nie chcąc, wzniecił stare podejrzenia. Dawno zażegnane konflikty wypłynęły na wierzch i widzowie jęli obwiniać prelegenta o świadome nawoływanie do rozlewu krwi.

Przestał przyciągać uwagę publiczności, zaczęły się pokątne rozmowy. Moro stał na scenie, ale czuł się zbędny. Podeszedł do siedzących kobiet. Były w średnim wieku i sądząc po makijażach, otwarte na romans. Nie zwrócił się do jednej, lecz do całej grapy.

Nim jednak otworzył usta, otoczyli go gniewni mężczyźni. Mocarnie ujęli go za ręce i ustawili przy ścianie. Zagrozili, że jeżeli tylko spróbuje uciekać, to w trybie nagłym przestąpi ten swój Próg.

- Czy można kogoś karać za niedokonanie cudu? - obrońca szukał odpowiedzi.

Opinie były podzielone. Jednak fakt, że oskarżony wziął zapłatę z góry, wydawał się

przesądzać sprawę.

Wysoki mężczyzna wymienił uwagi z obrońcą. Ten porozmawiał z sędzią, po czym przywołał nowo przybyłego do pulpitu.

- Jakie stosunki łączą pana z oskarżonym?

- Jest moim uczniem i asystentem.

- Czy może pan za niego ręczyć?

- Znam go - odpowiedział i dodał, że za zezwoleniem sądu, nie wchodząc w meritum sprawy, chciałby zwrócić pieniądze wszystkim osobom, które tego wieczora kupiły bilet. Co więcej, pragnie wnieść tysiącrandowy datek na sprzątnięcie i odmalowanie sali.

Oferta wydawała się nęcąca, zwalniała obecnych od dalszych postanowień. Sędzia Smith zdecydował się przełożyć ją na język prawny, cyzelując odpowiednią formułę. Pod wpływem nagłego impulsu wysoki mężczyzna dodał:

- I jeszcze tysiąc randów przeznaczam na wypoliturowanie ławek. Zostawiam tę kwotę, abyście pamiętali, że tu byłem.

Godzinę później obaj mężczyźni siedzieli w wygodnym samochodzie. Czerwone słońce chowało się za łańcuchem gór.

158 Antylopa szuka myśliwego

- Mistrzu, jestem załamany - rzekł Moro.

- Zjemy obiad w następnym miasteczku - odpowiedział człowiek nazwany Mistrzem.

- Tu mają tylko suchą wołowinę... A tam dziczyznę w musztardowym sosie.

- Skorzystałem z tego, że pan wyjechał. Biję się w piersi, postąpiłem nikczemnie.

- Chciałeś się uniezależnić. Nie winię cię za to. Właśnie przejechali most, którym kończyło się

miasto, i zaczęła się długa i pusta droga. Moro mówił do Mistrza:

- Pan wchodzi na scenę i zebrani wstrzymują dech... Wiedzą, że staną się świadkami cudu. Cokolwiek pan powie, przyjmują z głębokim wzruszeniem, każde słowo wydaje im się ważne i święte. Wskazuje pan na puste krzesło, mówiąc: „Na nim siedzi Peter”, a oni z tym pustym krzesłem prowadzą rozmowy. Potem oznajmia pan, że wszedł Paul, ten który w mieście reperował rowery... i na sali rozlegają się dzwonki!

- Piękna jest pustynia Karoc. - odrzekł Mistrz... i nie wiadomo, gdzie się kończy.

- Obserwuję pana - ciągnął uczeń. - Studiuję każdy pana krok, zawieszenie głosu i podniesienie dłoni... Mam zapisane pańskie słowa, przepowiadam je sobie wieczorem, a rano spisuję z pamięci. Popelniam coraz mniej błędów. Podpatrzyłem, komu pan zadaje współczujące pytania, jakim ruchem kładzie pan dłoń na ich spoconych czołach...

-A jednak czegoś ci zabrakło.

Moro i mistrz 159

Ujechali następne dziesięć kilometrów, w świetle reflektorów ukazało się płaskie wzgórze, a za nim przełęcz.

- Może publiczność była ciemna i toporna? - zastanawiał się uczeń. - Z tymi ludźmi można budować kopalnie, zaludniać pustynie... Przyczepią się do piasku jak porosty, posieją pszenicę i rozmnożą barany. Umieją żyć w odosobnieniu... Po stu latach patrzenia jeden na drugiego stworzyli sobie własne kanony piękna...

- Spróbuj ich polubić.
- Tego nie było w kontrakcie.

Z łuku wyjechali na wielomilową prostą. Mistrz prowadził niedbale jedną ręką.

-Znam już technikę spotkania, teorię przechodzenia Progu - ciągnął Moro. - Będę ćwiczył zgranie gestykulacji z mową. A także chód, posągowe milczenie, dramatyczne rzuty głowy w bok! Włosy zczeszę do przodu, przytnę je w linii prostej. Dla części publiczności będę wyglądał jak mnich, dla innych jak wyrosnięte pachole. I ponieważ niełatwo jest założyć nową religię, zostanę przy istniejącej.

Mistrz zwiększył szybkość jazdy. Było to tym łatwiejsze, że zjeżdżali z płaskowyzu w dolinę. Osiągnęli sto dwadzieścia, potem sto czterdzieści kilometrów na godzinę. Po chwili wskazówka szybkościomierza przeskoczyła sto osiemdziesiąt i zaczęła dochodzić do dwustu.

- Zabijemy się - Uczeń zaprzestał robienia planów na przyszłość.
- Ty tak, ale ja nie - odparł starszy.

160 Antylopa szuka myśliwego

Na szczęście pojawiły się znaki nakazujące ograniczenie szybkości. Najpierw sto kilometrów na godzinę, potem osiemdziesiąt. Zamigotały światła miasteczka Pięć Sióstr. Jednocześnie kierowcy jadący z przeciwnej strony zaczęli dawać uporczywe znaki świetlne, ostrzegając przed kontrolą radarową.

Zatrzymali się na oświetlonym placu przed rozległą stacją benzynową. Z głośników bila głośna muzyka.

- Chciałem, żebyśmy zdążyli na kolację - wyjaśnił Mistrz.
- A ja byłem pewny, że wylądujemy w rowie. Mistrz podał mu duży banknot.
- Kup torbę sucharów.

Gdy Moro wrócił, samochodu Mistrza nie było. Obszedł plac, zbadał ciemne kąty. Potem stanął na skraju asfaltu i spojrzał w obu kierunkach.

- Tak to jest z tymi mistrzami - westchnął. - Najpierw obiecują Bóg wie co... A potem zostawiają człowieka w pół drogi.

Postanowił poszukać hotelu. Przy okazji zorientuje się, czy jest tu jakaś sala teatralna. Najlepiej ze sceną, którą można przesunąć na środek widowni.

Ulice były oświetlone, budynki z żółtego kamienia. Obejścia prezentowały się dostatnio. Między rozchylonymi firankami widać było, jak mieszkańcy siadają do kolacji. Porządni i solidni, jeszcze nie wiadomo, jaką mogą się okazać publicznością.

Moro i mistrz

161

Idąc w głąb miasta, rozmyślał o Mistrzu. Ironiczny i obcy, jednak nie wyparł się ucznia. Nie zostawił go swojemu losowi. I Moro wierzył, że w razie następnej opresji Mistrz przyjedzie i znów go wykupi.

1SL

Spis treści

Śmierć plantatora.....	5
Kto z państwa popełnił ludobójstwo?	23
Ojciec Izydor.....	61
Antylopa szuka myśliwego	82

Nowa, nieoczekiwana kariera 127

Moro i mistrz..... 148

Wydawnictwo Książkowe Twój Styl

Rada Nadzorcza Grzegorz Białecki Roman Wysocki

Prezez Zarządu, Redaktor Naczelna Katarzyna Merta

al. Niepodległości 225/11

02-087 Warszawa

tel. (+22) 576 82 72, faks (+22) 576 82 62

e-mail: biuro@wkts.pl

Dział Handlowy Dyrektor Michał Golik tel. 0 501 511910 Joanna Brzozowska tel. 0

695 415 804

ul. Kolejowa 19/21, 02-217 Warszawa tel./faks(+22)631 8125, bezpłatna infolinia 0-

800 120 189 e-mail: dystrybucja@wkts.pl

www.wkts.pl